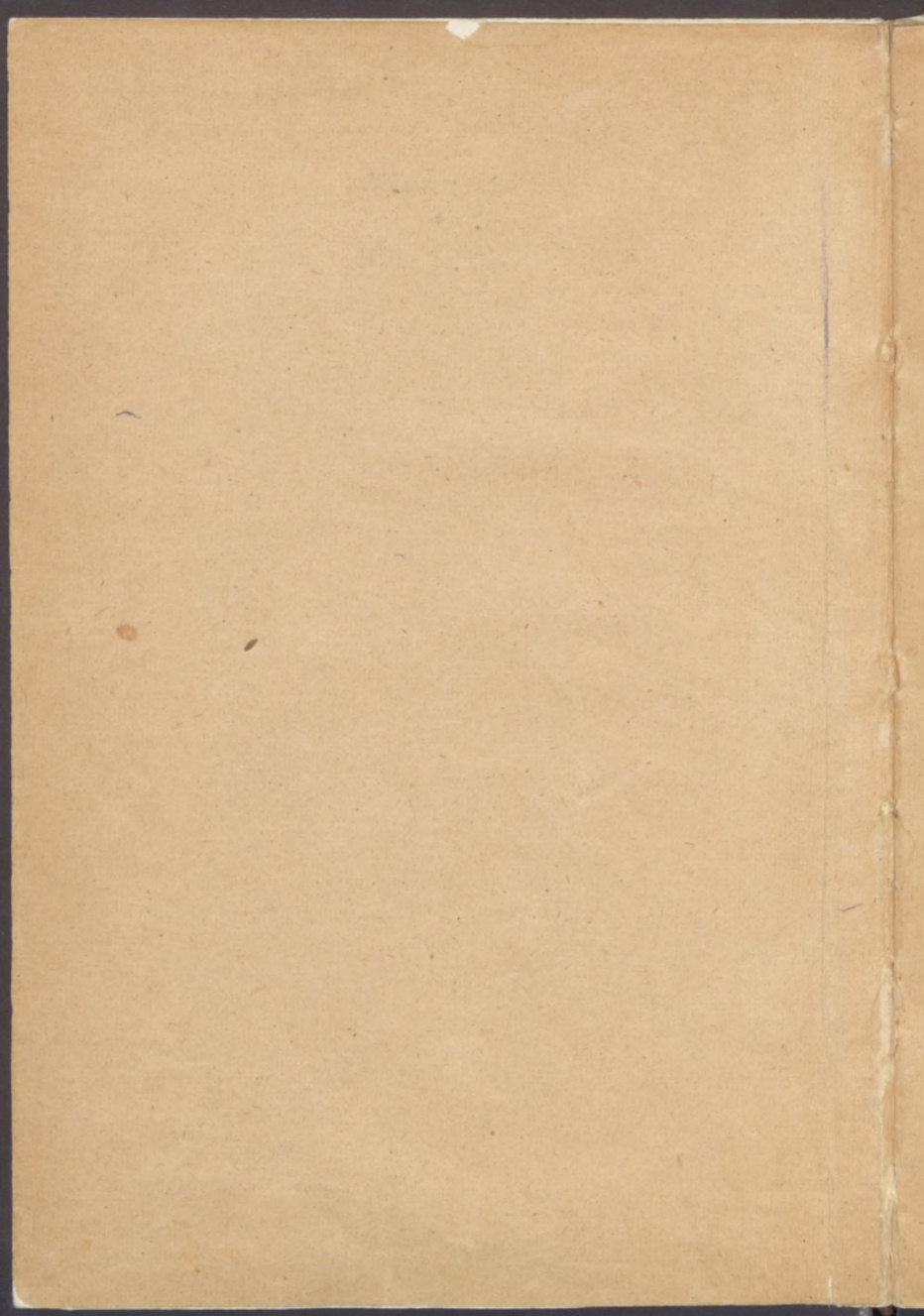


E. A. POE

*

ZŁOTY ŻUK



152643

110743

E. A. POE

ZŁOTY ŻUK



. KSIĄŻKA i WIEDZA .

WARSZAWA 1960

„Książka i Wiedza”, Warszawa
Printed in Poland
Styczeń 1950 rok

Przekład
STANISŁAWA WYRZYKOWSKIEGO

Okladkę projektował
Stefan Bernaciński



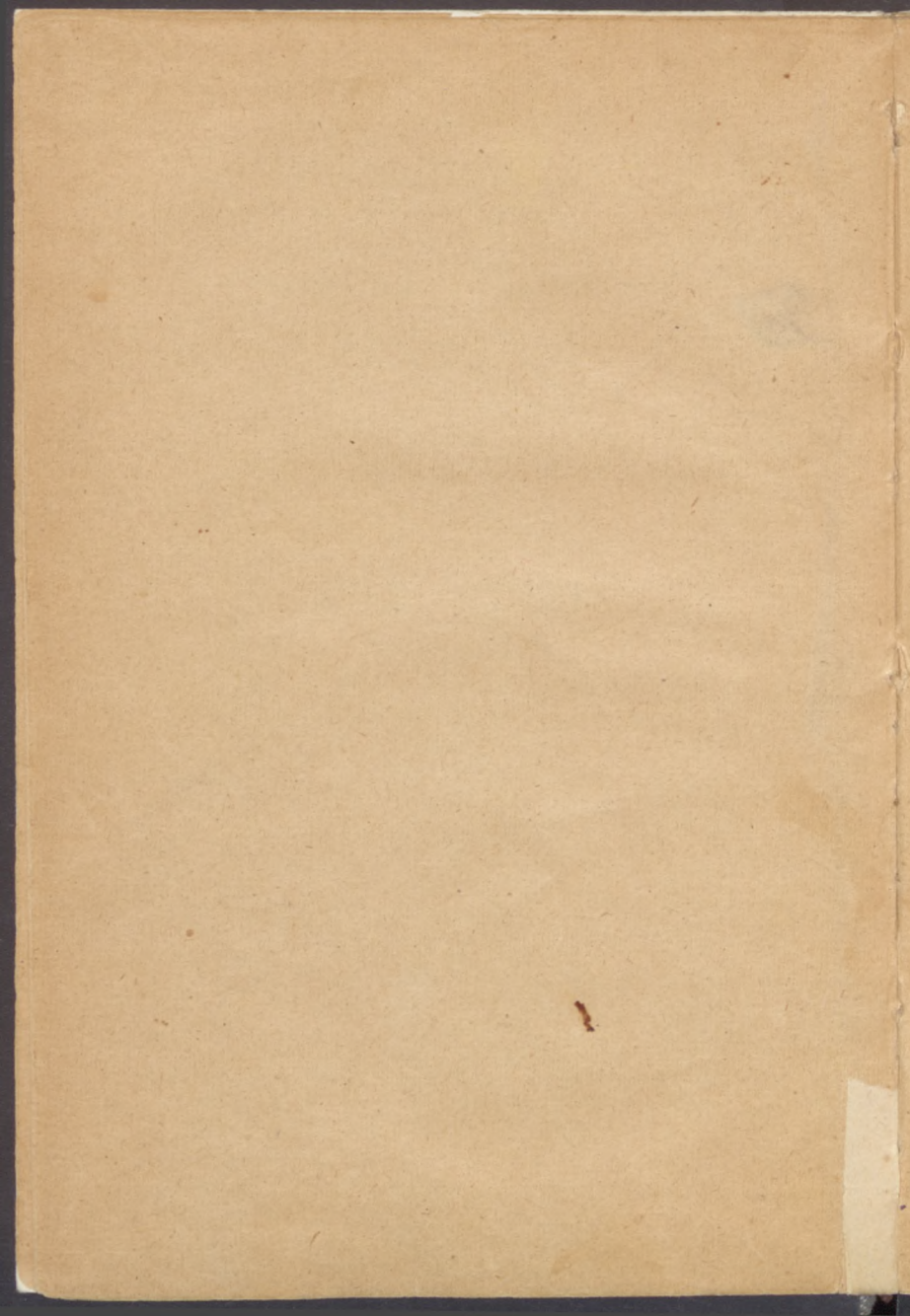
152643

II

B-93818

Tłoczono 15.000 + 600 egzemplarzy
Zakłady Graficzne „Książka i Wiedza” Warszawa
Obj. w i 1/2 ark. Papier dzieł. mat. kl. V, 80 g, 70 x 100 cm
Zam. Nr 1183. 8.XI.49 r. — 14.1.50 r.

ZŁOTY ŻUK



Dawnymi laty nawiązałem zażyłą znajomość z Mr. Wiliamem Legrandem. Pochodził on ze starodawnej, hugenockiej rodziny i był niegdyś zamożny, lecz cały szereg niepowodzeń zubożył go doszczętnie. Chcąc uniknąć przykrości, jakie stąd dlań wynikły, porzucił New Orleans, gdzie znajdowało się gniazdo rodzinne jego przodków, i osiedlił się na wyspie Sullivaniana koło Charleston, w Carolinie południowej.

Wyspa ta jest nader osobliwa. Składa się wyłącznie z piasków morskich i ma około trzech mil długości. Szerokość jej nie wynosi nigdzie więcej niż ćwierć mili. Od lądu dzieli ją zaledwie dostrzegalna cieśnina, pełzająca leniwie wśród bezmiary trzciny i namułu i stanowiąca ulubione miejsce pobytu kurpek wodnych. Roślinność jest skąpa i nikła. Drzew dorodniejszych nie widać wcale. U krańca zachodniego, gdzie wznosi się fort Moultrie i stoi kilka nędznych klitek drewnianych, zamieszkiwanych w lecie przez przybyszów z Charleston, co uchodzą stamtąd przed malarią i kurzem, spotyka się co prawda, szpeciniastą palmę karłowatą; natomiast całą wyspę, z wyjątkiem owego zachodniego skraw-

ka jako też przykrej, białawej smugli wybrzeża morskigo, pokrywają gęste chaszczce wonnego mirtu, wielce cenionego przez ogrodników angielskich. Krzew ten miewa tam często piętnaście do dwudziestu stóp wysokości i tworzy nieprzeniknione niemal gąszczce, które przesycają powietrze swym zapachem.

W najtajemniejszym ustroniu tych zarośli, opodal od wschodniego, czyli dalszego krańca wyspy, wybudował sobie Legrand własnoręcznie niewielką chatę, którą zamieszkiwał, kiedy po raz pierwszy przypadkowo zdarzyło mi się go poznać. Znajomość ta rychło przedzierzgnęła się w przyjaźń, gdyż pułstelnik ów miał niejedną zaletę, zasługującą na cześć i uznanie. Przekonałem się, że był człowiekiem dobrze wychowanym i uposażonym niezwykle potężnym umysłem, lecz zatrutym mizantropią oraz podległym chorobliwym mrzonkom naprzemiennego entuzjazmu i melancholii. Miał u siebie wiele książek, ale zaglądał do nich rzadko. Głównym jego zajęciem było myślistwo i rybołówstwo jako też włości po wybrzeżu i wśród mirtów w poszukiwaniu muszli oraz okazów entomologicznych; zbiorów mógł mu pozazdrościć nawet Swammerdamm. Na tych wycieczkach towarzyszył mu zazwyczaj stary Murzyn, zwany Jupiterem, który odzyskał wolność jeszcze przed niepowodzeniami rodzinnymi, lecz którego żadną groźbą ni obietnicą nie było można

skłonić do wyrzeczenia się tego, co uważał za swe prawo do czuwania nad postępками swego młodego — jak go nazywał — Massy Willa. Być może, iż krewni Legranda uważając go za człowieka o chwiejnym umyśle postarali się utwierdzić w tym uporze Jupitera mając nadzieję, że będzie on towarzyszem i opiekunem tułacza.

Pod szerokością geograficzną wyspy Sulivana zimy ostrzejsze należą do rzadkości i nieczęsto się zdarza, by pod koniec roku trzeba było zapalać ogień. Mimo to około połowy października 18 . . . nastął dzień nadzwyczaj chłodny. Na krótko przed zachodem słońca torowałem sobie drogę śród wiecznie zielonych chaszczy do chaty mojego przyjaciela, którego nie widziałem już od kilku tygodni, mieszkałem bowiem podówczas w Charleston o jakie dziewięć mil od wyspy, a ułatwienia w podróży tam i z powrotem bynajmniej nie dorównywały jeszcze dzisiejszej. Stanąwszy przed chatą zastukałem swym zwyczajem, a nie otrzymawszy odpowiedzi poszukałem klucza w wiadomej mi skrytce, otworzyłem drzwi i wszedłem do wnętrza. Na kominie rozkosznie gorzał ogień. Była to niespodzianka — i trzeba przyznać, że nader miła. Zdjąłem płaszcz, przysunąłem sobie krzesło do trzaskających głowni i czekałem cierpliwie powrotu mych gospodarzy. X

Pojawili się o zmierzchu i powitali mnie bardzo serdecznie. Jupiter szczerząc zęby od ucha do

ucha zakrzętał się około przygotowania kurek wodnych na wieczerzę. Legrand był znów w przyśpie — gdyż nie wiem jak to inaczej nazwać — entuzjazmu. Znalazł nieznanego skorupiaka przedstawiającego nową odmianę, i co więcej, schwytał i upolował przy pomocy Jupitera jakiegoś żuka, który wedle niego był zupełną nowością, lecz co do którego pragnął jeszcze zasięgnąć nazajutrz mojego zdania.

— Czemuż nie dzisiaj? — spytałem zacierając ręce nad ogniem i cały gatunek żuków posyłając w duchu do diabła.

— Ach, gdybym był wiedział, że przyjdiesz! — odparł Legrand — lecz nie widziałem cię już tak dawno; jakże mogłem przypuszczać, że mnie odwiedzisz właśnie dzisiejszego wieczora? Idąc z powrotem spotkałem po drodze porucznika G. z fortu i zrobiłem to głupstwo, że pożyczyłem mu chrząszcza do obejrzenia; nie możesz go zatem wcześniej zobaczyć aż jutro rano. Przenocuj dziś u mnie, a o świcie Jup pójdzie po niego. To istne czarodziejstwo!

— Co? Świt?

— Nie pleć! Żuk. Lśni cały jak złoto — jest wielkości dużego orzecha — ma dwie ogromnie czarne plamki po jednej stronie odwłoku i trzecią, nieco większą, po drugiej. Macki są...

— On nie ma nijakich macek, Massa Will, idę o zakład — przerwał Jupiter — ten chrząszcz to złoty chrząszcz: on cały ze szczerego złota i w środku, i wszędzie oprócz skrzydeł. Jeszczem w życiu nie widział takiego ciężkiego chrząszcza.

— Zgoda, przypuścimy, że tak jest istotnie, Jup — odrzekł Legrand, jak mi się zdawało, nieco poważniej niż tego wymagały okoliczności — ale czy dlatego masz przypalić nasze kurki? Barwa — mówił dalej zwracając się do mnie — przemawia rzeczywiście do pewnego stopnia za przypuszczeniem Jupitera. Nie zdarzy ci się chyba widzieć świetniej metalicznego połysku niżli na łuskach tego owada, lecz będziesz mógł i o tym sądzić dopiero jutro. Tymczasem chciałbym ci dać wyobrażenie o jego kształcie. — Z tymi słowy usiadł przy małym stoliku, na którym znajdował się atrament i pióro, lecz nie było papieru. Sięgnął po niego do szuflady, ale i tam nie znalazł.

— Co tam! — rzekł w końcu — to wystarczy. — Wyjął z kieszonki od kamizelki jakiś świstek, który wydał mi się nadzwyczaj brudnym kawałkiem papieru welinowego i piórem naszkicował rysunek. Kiedy to się działo, nie ruszałem się z miejsca, bo wciąż jeszcze było mi chłodno. Ukończywszy rysunek podał mi go nie powstając z krzesła. Miałem już szkic w ręku, gdy rozległo się głośnie skomlenie i coś zachrobotało za drzwiami. Otworzył je Jupiter

I do izby wpadł wielki newfoundlandczyk będący własnością Legranda; wsparł się łapami na mych ramionach i nie szczędził mi pieszczot wywzajemniając się za pieczołowitość, jakiej już niejednokrotnie doznawał poprzednio ode mnie. Gdy przestał się łąsić, spojrzałem na papier i prawdę mówiąc byłem nieco zakłopotany dziwołagiem mojego przyjaciela.

— Hm! — rzekłem po kilku minutach — trzeba przyznać, że ten żuk istotnie jest niezwykły i stanowi dla mnie nowość; nie widziałem jeszcze niczego podobnego, chyba że byłaby to czaszka lub trupia głowa, którą bodaj przypomina najwięcej wśród widywanych przeze mnie przedmiotów.

— Co, trupia głowa? — zapytał Legrand. — Ach, tak, tak, bez wątpienia; jest niejaki podobieństwo na papierze. Dwie górne, czarne plamki wyglądają jak oczy, nieprawdaż? A ta podłużna na odwłoku niby pyszczek? Przy tym kształt całości jest owalny.

— Być może — odparłem — ale coś mi się zdaje, że nieszczęśliwym jesteś artystą, poczekam aż zobaczę tego owada na własne oczy i sam powezmę wyobrażenie o jego wyglądzie.

— Zgoda, choć nie wiem... — rzekł z lekką w głosie urazą — rysuję znośnie lub przynajmniej powinienbym, miałem niezłych nauczycieli i pochlebiam sobie, że nie jestem w ciemni bity.

— Ależ, mojej drogi, ty chyba żartujesz — odezwa-

tem się — to wcale poprawna czaszka, powiedziałbym nawet, doskonale naszkicowana czaszka, jeśli zgadzimy się na poglądy, obowiązujące powszechnie w osteologii, to twój żuk musi być najosobliwszym żukiem na świecie, skoro jest do niej podobny. Można by na karb jego złożyć jaką zabobonną okropność. Myślę, że nazwiesz tego chrząszcza scarabeus caput hominis lub dasz mu inne, zbliżone nazwanie, zwłaszcza że podobne miana spotyka się często w naukach przyrodniczych. Ale gdzie są macki, o których mówiłeś?

— Macki! — zachnął się Legrand, który, jak mi się zdawało, zapalił się niepomierne do przedmiotu naszej rozmowy — musisz je widzieć, tego jestem pewny! Narysowałem je najdokładniej wedle oryginału i myślę, że to wystarczy.

— Nie przeczę, nie przeczę — powiedziałem — być może, iż narysowałeś, ale ja ich nie widzę — i wręczyłem mu papier nie dodając już ani słowa, by nie podniecać jego rozdrażnienia; wszelako byłem nie pomału zdziwiony tym obrotem rzeczy. Jego zły humor wprowadził mnie w zakłopotanie — co zaś do rysunku chrząszcza, macek napewno nie było widać, a całość okazywała nadzwyczajne podobieństwo do zwykłych kształtów trupiej głowy.

Sięgnął po papier bardzo niechętnie i już miał zmiąć go chcąc zapewne rzucić w ogień, gdy przypadkowy rzut oka na rysunek przykuł nagle, jak

mi się zdawało, całą jego uwagę. Poczzerwieniał zrazu na twarzy, po czym przybladł mocno. Przez kilka minut nie ruszając się z miejsca badał szczegółowo rysunek. W końcu wstał, wziął świecę ze stołu i odszedłszy opodal, usiadł na skrzyni, w najdalszym kącie izby. Tu znowu jął oglądać drobiazgowo papier obracając go na wszystkie strony. Wszelako nie wyrzekł ani słowa ku wielkiemu mojemu zdziwieniu; zdawało mi się przeto, iż będzie najrozsądniej nie robić żadnych uwag i nie powiększać wzmagającego się rozstroju jego usposobienia. Ostatecznie wyjął z kieszeni portfel, włożył do niego starannie papier i schował do biurka, które zamknął na klucz. Znać było po nim niejakie uspokojenie, ale poprzedni jego zapał znikł doszczętnie. Mimo to wydawał mi się nie tyle zasepiony, co roztargniony. Z biegiem wieczoru coraz bardziej pograżał się w zadumie i nie dawał się z niej wyprowadzić żartami. Poprzednio miałem zamiar przenocować w chacie, jak to czyniłem już niejednokrotnie, ale widząc roztargnienie mojego gospodarza uważałem za stosowne pożegnać się z nim. Nie nalegał wcale, bym pozostał, lecz na pożegnanie uściśnął mnie serdeczniej niż zwykle.

I W jakiś miesiąc później (a przez cały ten czas nie miałem zgoła wieści od Legranda) odwiedził mnie w Charleston jego służący, Jupiter. Nie widziałem przed tem nigdy poczciwego, starego murzyna w po-

dobnym przygnębieniu i jałem się obawiać, czy jakie wielkie nieszczęście nie spotkało mojego przyjaciela.

— No cóż, Jup! — zagadnąłem — co tam sły-
chać nowego? — Co porabia twój pan?

— Żeby prawdę powiedzieć, massa, nie wiedzie
mu się tak dobrze, jakby powinno.

— Niedobrze! Co ty mówisz? — To mnie ma-
rtwi: — Cóż mu dolega?

— Otóż to! — Nie skarży się na nic, ale jest bar-
dzo chory.

— Bardzo chory, Jup! — A czemużeś tego nie po-
wiedział od razu? Czy leży w łóżku?

— Ej, nie! — z nim nigdzie nie jest dobrze —
i tu właśnie jest sęk — bardzo mi ciężko na duszy,
bo mnie smuci massa Will.

— Słuchaj no, Jup, chciałbym coś zrozumieć
z tego, co mi pleciesz. Więc powiadasz, że twój pan
niezdrow? Czy ci nie mówił, co go boli?

— Ej, massa, nie warto łamać sobie nad tym gło-
wy — massa Will mówi, że mu nic nie jest, ale dla-
czego łązi z kąta w kąt zamyślony, zgarbiony, ze
spuszczoną głową i blady jak gęś? A potem, dlacze-
go robi ciągiem te kulasy?

— Co robi, Jupiter?

— No, takie kulasy i figury na tabliczce — jesz-
czem takich figur nie widział. Aż skóra cierpnie na
mnie, mówię panu. Nie mogę ani na chwilę spuścić
go z oka. Onegdaj wymknął mi się przed wschodem

słońca i poszedł gdzieś, i nie było go przez cały święty dzionek. Jużem był sobie wyciął tęgi kij, żeby wygnać z niego te diabły, kiedy przyjdzie, alem był taki osioł, że mi nie stało kurażu... tak źle, biedactwo, wyglądał!

— Co ty mówisz — naprawdę? — Koniec końcem mnie się zdaje, że lepiej zrobisz, jeśli nie będziesz nazbyt srogi dla tego biedaka. Nie trzeba go tykać, Jup! Być może, iż nie zniósł by tego. — Ale czy nie przychodzi ci na myśl, co mogło spowodować tę chorobę, a raczej tę zmianę w usposobieniu twego pana? Czy nie miał jakiej przykrości od czasu, jak się z wami widziałem?

— Nie, massa, potem nic przykrego się nie zdarzyło. Ale boję się, czy przedtem... tego samego dnia, kiedyście, panie, byli u nas.

— Co takiego? Co ci się zdaje?

— No, tak, massa, myślę, że to ten chrząszcz.

— Co znowu?

— Ten chrząszcz — jestem przekonany, że mego Willa ugryzł gdzieś w głowę ten złoty chrząszcz.

— Skądże ci przyszło do głowy takie przypuszczenie, Jup?

— Bo ma dosyć kleszczy, massa, a i pysk niezgorszy. Jeszczem w życiu nie widział takiego diabelskiego robaka — łapie i gryzie wszystko, co mu się nawinie. Massa Will pierwszy go chwycił, lecz wnet puścił, słowo daje... i to wtedy pewnikiem go ugryzł.

Mnie się jakoś od razu nie podobał ten chrząszcz i jego pysek, toteż nie sięgnąłem po niego palcami, ale znalazłem kawałek papieru i takem go złapał. Owinąłem go w papier i wepchnąłem mu kawałek tego papieru do pyska — takem to zrobił!

— Więc myślisz, że twego pana naprawdę ugryzł ten owad i że od tego ukąszenia on się rozchorował?

— Ja nic nie myślę — gdzieby tam! Ino dlaczego śni mu się ciągiem o złocie, jeśli go nie ugryzł ten złoty chrząszcz? Ja jużem niejedno słyszał o tych złotych chrząszczach.

— Skądże ty wiesz, że mu się śni o złocie?

— Skąd ja wiem? Bo ciągiem przez sen o nim gada — stąd wiem.

— Hm, Jup być może, iż masz słuszność, ale jakiejże to szczęśliwej okoliczności zawdzięczam, żeś raczył dziś mnie odwiedzić?

— He, co massa gada?

— Czy masz jakie wieści od Mr. Legranda?

— Nie, massa, przyniosłem ino ten kwitek — tu Jupiter podał mi list, który brzmiał, jak następuje:
„Mój Drogi!

Dlaczego nie zaglądasz do mnie już od dawna? Myślę, że nie byłbyś zdolny obrazić się na mnie za jakąś tam przymówkę — nie, to nie podobna.

Nie zachodziłeś do mnie, a ja tu przeżywam tymczasem ciężką rozterkę. Miałbym coś do opowiedze-



lecz doprawdy nie wiem jak to powiedzieć i czy w ogóle powiedzieć.

Byłem w ostatnich dniach trochę niezdrów; starowina Jup nudzi mnie nieznośnie swą poczciwą troskliwością. Czybyś uwierzył? Kilka dni temu przygotował sobie spory kij, żeby mnie skarcić za to, iż dałem przed nim nura i przeważałem samotnie cały dzień wśród wzgórz, na lądzie. Coś mi się zdaje, że tylko dzięki memu złemu wyglądowi zdołałem ująć cięgów.

Od naszego ostatniego spotkania nie przybyło nic do mych zbiorów.

Przybądź do mnie wraz z Jupiterem, jeśli tylko możesz i jeśli nie będzie to dla ciebie zbyt niedogodne. Przyjdźże! Chciałbym widzieć się z tobą dzisiaj-szego wieczora w pewnej ważnej sprawie. Zapewniam cię, że to sprawa nadzwyczaj ważna.

Szczerze ci oddany

William Legrand

Było coś w tonie tego listu, co mnie dotknęło nader nieprzyjemnie. Cały jego styl różnił się tak bardzo od stylu Legranda. Co mu się roilo? Jaki nowbzik załagał się w tym niespokojnym mózgu? Do jakiej to „nadzwyczaj ważnej sprawy“ miał zamia przystąpić? Opowiadanie Jupitera nie zapowiadało niczego dobrego. Jałem się obawiać, czy nieustarny ucisk niedoli nie wykoleił w końcu umysłu me

jego przyjaciela. Nie zwlekając przeto ani chwili wybrałem się w drogę z nieodstępным murzynem.

Kiedy przybyliśmy do przystani, spostrzegłem na dnie oczekującej nas łodzi kosę i trzy łopaty, zupełnie nowe.

— Co to wszystko znaczy, Jup? — zagadnałem.

— To kosa, massa, i łopaty.

— Wiem, ale skąd one tu się wzięły?

— Massa Will kazał kupić dla siebie w mieście tę kosę i te łopaty, i diablo dużo to kosztowało.

— Lecz na wszystkie tajemnice, co ten twój massa Will zamierza począć z kosą i z łopatami?

— Niby to ja wiem wszystko? i niech mnie diabli wezmą, jeśli on wie więcej ode mnie. Ale to wszystko przez tego chrząszcza!

Widząc, że niczego więcej nie dowiem się od Jupitera, którego umysł kołował widocznie tylko dookoła „chrząszcza“, wszedłem do łodzi i rozpiąłem żagiel. Sprzyjał nam rzeźwy i dość silny wietrzyk; rychło zawinęliśmy do niewielkiej zatoki na północ od fortu Moultrie, skąd pieszo podążyliśmy do chaty oddalonej o niespełna dwie mile. Była trzecia po południu, gdy stanęliśmy na miejscu. Legrand oczekiwał nas z ogromną niecierpliwością. Podał mi dłoń nerwowym ruchem, który mnie zaniepokoił i utwierdził w powziętych już podejrzeniach. Twarz miał bladą jak upiór, a jego głęboko osadzone oczy

jarzyły się niezwykłym blaskiem. Najpierw zapytałem go o zdrowie, po czym nie wiedząc jak nawiązać rozmowę, zagadnąłem, czy odebrał już żuka od poręcznika G.

— O, tak — odparł mieniać się na twarzy — otrzymałem go nazajutrz rano. Za nic w świecie nie rozstałbym się z tym żukiem! Czy wiesz, że Jupiter co do niego miał zupełną słuszość?

— Jak to? — zapytałem, pełen smutnych przeczuć.

— Bo przypuszczał, że ten chrząszcz jest szczerzozłoty! — Powiedział to z głębokim przekonaniem, które sprawiło mi niewymowną przykrość.

— Ten chrząszcz przyniesie mi szczęście — mówił dalej z triumfującym uśmiechem — i odda mi z powrotem dobra rodzinne. Cóż więc dziwnego, że go cenię? Skoro fortuna uważała za stosowne dać mi go w ręce, trzeba będzie tylko odpowiednio nim się posłużyć, a znajdę złoto, którego jest zwiastunem. Jup, przynieś mi tego żuka!

— Co — żuka, massa? Wolę ja nie mieć z nim nijakiej sprawy! Niech go massa sam weźmie. — Na te słowa Legrand podniósł się z miejsca poważnym i wyniosłym ruchem, i wyjął chrząszcza ze szklanego naczynia, gdzie go trzymał w zamknięciu. Był to piękny scarabeus, podówczas nieznanym jeszcze przyrodnikom i posiadający dlatego istotną, naukową wartość. Miał dwie czarne cent-

ki po jednej stronie odwłoki, a trzecią podłużną po drugiej. Łuski jego były nadzwyczaj twarde i lśniące i miały wygląd polerowanego złota. Ciężar owada był nader znaczny biorąc przeto wszystko pod uwagę trudno było mieć za złe Jupiterowi jego poglądy; natomiast za cenę życia żadną miarą nie zdołałbym być podówczas pojąć, jak Legrand mógł godzić się na nie.

— Posłałem po ciebie — odezwał się pompatycznym tonem, gdy ukończyłem badanie chrząszcza — posłałem po ciebie, bo mi będzie potrzebna twa rada i pomoc, kiedy pocznie się iść zrządzenie Przeznaczenia i żuka...

— Mój drogi — przerwałem — tyś zapewne niezdrow i powinienbyś mieć się nieco na baczności. Połóż się do łóżka, a ja zostanę przy tobie aż to przejdzie. Masz gorączkę i...

— Zbadajże mi tętno — odpowiedział.

Wziąłem go za rękę i prawdę mówiąc nie wyczuwałem najmniejszych oznak gorączki.

— Ale ty możesz być chory i nie mieć gorączki. Pozwól mi tym razem zająć się tobą. Po pierwsze, połóż się do łóżka. Następnie...

— Mylisz się — wtrącił. — Czuję się o wiele lepiej, niżli można by wnioskować z mojego podniecenia. Jeśli naprawdę pragniesz mojego dobra, ulżyj mi w nim!

— A jakże tego dokonać?

— Bardzo łatwo. Wybieram się wraz z Jupilitem na wyprawę śród wzgórz, na stałym lądzie i potrzebuję do pomocy kogoś na kim można by polegać. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu mogę zaufać. Podniecenie, które u mnie dostrzegasz, ustąpi bez względu na to, czy spotka mnie zawód, czy triumf.

— Dopomogę ci chętnie we wszystkim — odrzekłem — ale czy twoim zdaniem ten piekielny owad pozostaje w jakimś związku z twą wyprawą do wzgórz?

— Oczywiście.

— W takim razie nie mogę wziąć udziału w tym niedorzecznym przedsięwzięciu.

— Przykro mi — bardzo mi przykro! Zatem będziemy musieli próbować sami.

— Co... sami? — Czyś ty istotnie oszalał? Zaczekajno! Na jak długo się wybierasz?

— Prawdopodobnie na całą noc. Wyruszymy natychmiast, a o świcie będziemy z powrotem.

— A kiedy ta twoja chimera minie i kiedy ta zabawka z chrząszczem (mój ty, Boże!) skończy się dla ciebie pomyślnie, czy mi zaręczysz słowem honoru, że powrócisz do domu i będziesz słuchał ślepo mych rad, jak gdybym był twoim lekarzem?

— Zgoda przyrzekam; a teraz dalej w drogę, bo nie mamy czasu do stracenia!

70
— Z ciężkim sercem podążyłem za moim przyjacielem. Wyruszyliśmy po czwartej — Legrand, Jupiter, ja i pies. Jupiter zabrał kosę i łopaty i uparł się, że to wszystko sam poniesie, więcej, jak mi się zdawało, z obawy, by które z tych narzędzi nie dostało się w ręce jego pana, niżli z nadmiernej gorliwości i pilności. Był po prostu w psim usposobieniu i poza słowami „ten diabelski chrząszcz“ nie powiedział nic przez całą drogę. Mnie dostały się przy podziale dwie ślepe latarki, natomiast Legrand zadowolił się samym tylko żukiem, którego przytwierdził na końcu sznurka i potrząsał nim idąc z miną spiskowca. Patrząc na ten oczywisty dowód zboczenia umysłowego u mojego przyjaciela zaledwie zdołałem powściągnąć łzy, które cisnęły mi się do oczu. Zdawało mi się jednakże, iż postąpię właściwiej, gdy będę pobłażał jego urojeniom, przynajmniej na razie lub do czasu, gdy będzie można zastosować energiczniejsze środki zaradcze nie narażając się na niepowodzenie. Tymczasem czyniłem nadaremnie usiłowania, by dowiedzieć się odeń czegoś dokładniejszego o celu tej naszej wyprawy. Udało się mu wymóc na mnie, że będę mu towarzyszył, ale widocznie nie chciał wdawać się w rozmowę o jakichkolwiek szczegółach podrzędniejszego znaczenia i na wszystkie moje zapytania nie raczył dawać innej odpowiedzi prócz: „zobaczymy“. Przeprawiliśmy się czołnem u przylądka wyspy na

wybrzeże stałego lądu i pnać się wciąż w górę, w kierunku północno-zachodnim, uszliśmy przez okolice nadzwyczaj dziką i pustynną, gdzie zgoła nie było śladów ludzkiej stopy. Legrand prowadził nas nadzwyczaj pewnie zatrzymując się tylko od czasu do czasu, by rzucić okiem na jakieś, widocznie znane mu znaki, które zapewne przy innej sposobności zakarbował sobie w pamięci.

Szliśmy tak ze dwie godziny i słońce miało się już ku zachodowi, kiedy otoczyło nas pustkowie, nieskończenie posępniejsze od okolic, które pozostały za nami. Był to jakby płaskowyż położony u szczytu niedostępnego niemal wizaru, zalesiony gęsto od dołu do samej góry i usiany ogromnymi złomami, które zdawały się leżeć luźno na ziemi i niejednokrotnie nie staczały się w dół jedynie dlatego, że stały oparte o drzewa. Głębokie jary przebiegające w różnych kierunkach przymnażały jeszcze krajobrazowi wyrazu uroczystej głuszy.

Wyżynę, na którą wspieliśmy się w końcu, porastały tak gęsto chaszczce jeżyny, iż wnet przekonaliśmy się, że nie utworzymy sobie drogi bez kosy. Jupiter na rozkaz swego pana jął trzebić ścieżkę do stóp ogromnego tulipanowca, który wznosił się na płaszczyźnie w otoczeniu ośmiu czy dziesięciu dębów i przewyższał je, podobnie jak wszystkie inne drzewa, które kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć, krasą ulistwienia i kształtu, rozłożystością konarów

oraz okazałością wyglądu. Gdy stanęliśmy pod drzewem, Legrand zwrócił się do Jupitera i zapytał go, czy potrafi wejść na nie. Stary murzyn zaważał się nieco na to pytanie i na razie nic nie odpowiedział. Po chwili zbliżył się do potężnego pnia, obszedł go zwolna wokół i obejrzał bardzo dokładnie. Ukończywszy swe badania rzekł krótko:

— Juźcić, massa, nie ma takiego drzewa, na które Jup nie wlezie.

— Zatem włącz co rychlej, bo wnet się ściemni i nie będziesz widział, co robimy.

— Jak wysoko trzeba wleźć, massa? — zagadnął Jupiter.

— Wespnij się najpierw na pień, a potem ci powiem, którądy masz wspinać się dalej. — Zaczekajno jeszcze! — Weź ze sobą tego chrząszcza!

— Chrząszcza, massa Will? Złotego chrząszcza? — zawołał murzyn cofając się lekliwie. — Poczóż mam zabierać tego chrząszcza na drzewo? Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli go wezmę!

— Co, Jup, ty, taki wielki, silny murzyn, boisz się wziąć ze sobą nieszkodliwego, martwego chrząszczyka, którego można ponadto nieść jeszcze na tym sznurku? — No, jeśli ty go tak lub owak nie weźmiesz, to doprowadzisz mnie do ostateczności i rozwałę ci łeb tą łopata!

— Co też massa gada! — odezwał się Jup, widocznie zawstydzony i skłonny do uległości. — Mas-

sa musi zawsze gderać na starego murzyna! To był tylko żart! Ja bym bał się chrząszcza? Ja kpie z niego! — z tymi słowy ujął ostrożnie sam koniec sznurka i trzymając owada możliwie daleko od siebie począł wspinać się na drzewo.

✓ Tulipanowiec, czyli *Liriodendron tulipiferum* jest najwspanialszym drzewem borów amerykańskich. Za młodu pień jego bywa nadzwyczaj gładki, a boczne konary poczynają się nieraz dopiero na znacznej wysokości. Ale z latami kora staje się sękatą i chropawą, i mnóstwo krótkich gałązek pojawia się na pniu. Trudność zatem wejścia na to drzewo była raczej pozorna niż rzeczywista. Obejmując możliwie mocno ramionami i kolanami potężny trzon drzewny, czepiając się rękami sęków i wpijając swe bosc stopy w zagłębienia, piął się Jupiter w górę i narażając się kilkakrotnie na niebezpieczeństwo upadku wśliznął się w końcu w pierwsze wielkie rozwidlenie, gdzie, jak się zdawało, uznał swe dzieło za skończone. Jakoż wszelkie trudności istotnie były już pokonane, jakkolwiek murzyn zawisł na wysokości sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu stóp nad powierzchnią ziemi.

— Którędy leżć teraz, massa Will? — zapytał.

— Wspinaj się po najgrubszym konarze z tej strony pnia! — rzekł Legrand. Murzyn usłuchał go chętnie i bez żadnego już wysiłku pełzał coraz wyżej, aż w końcu krzepka jego postać znikła zu-

pełnie wśród gęstego listowia. Głos jego dolatywał z wysoka niby nawoływanie:

— Czy leżć jeszcze wyżej?

— A gdzież ty jesteś? — zapytał Legrand.

— Tak wysoko — odrzekł murzyn — że widzę już niebo przez wierzchołek drzewa.

— To nie chodzi o niebo, ale o to, co ci powiem! Spójrz w dół na pień i policz konary pod sobą po tej stronie. Ile masz konarów pod sobą?

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć — mam już pod sobą pięć grubych konarów, massa, po tej stronie.

— Zatem wleż jeszcze o jeden konar wyżej.

Po chwili głos zawiadomił, że Jupiter dotarł już do siódmego konara.

— No, a teraz, Jup — krzyknął Legrand z niehamowanym już uniesieniem — posuwaj się po tej gałęzi tak daleko, jak tylko możesz. A gdy zobaczysz coś niezwykłego, daj mi znać!

Jeśli miałem dotychczas jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości co do stanu umysłowego mego biednego przyjaciela, to w tej chwili pierzchły one zupełnie. Z konieczności trzeba było go uznać za obłąkanego i już naprawdę niepokoiłem się myślą, w jaki sposób odprowadzę go do domu. Kiedy rozmyślałem jak należy postąpić, głos Jupitera rozległ się znowu:

— Boję się leżć za daleko po tej gałęzi — prawie cała uschnięta!

— Powiadasz, że ta gałąź jest uschnięta, Jup? — zawołał Legrand drżącym głosem.

— Tak jest, massa, sucha jest jak pieprz — całym na pewno — nie ma w niej ani krztu życia.

— Na miłość Boską, co teraz począć? — zapytał Legrand upadając widocznie na duchu.

— Pytasz, co począć? — podchwyciłem korzystając ze sposobności, bym mógł wreszcie zabrać głos w tej sprawie. — Pójść do domu i położyć się do łóżka! — Chodźże! Bądź grzeczny, mój drogi! Pora już późna, a przy tym chciej pamiętać o swej obietnicy.

— Jup! — krzyknął nie zwracając zgoła na mnie uwagi — słyszysz mnie?

— Tak jest, massa, słyszę doskonale.

— Zatnij tę gałąź nożem i zobacz, czy drzewo już bardzo spróchniało?

— Spróchniało, massa, dość spróchniało — odparł murzyn po chwili — ale trzyma się lepiej, niż myślałem. Mógłbym jeszcze poleżeć trochę dalej po tej gałęzi, ale sam.

— Sam! — Co to znaczy?

— Bo mam chrząszcza. To bardzo ciężki chrząszcz! Gdybym go cisnął na dół, to pewno ta gałąź nie ułamałaby się pod takim jak ja Murzy-nem.

— Ty, diabli synu! — krzyknął Legrand z widoczną ulgą. — Co ty mi pleciesz? Spróbuj tylko

rzucić chrząszcza, a dostaniesz ode mnie po łbie. Hej, Jup! Czy mnie słyszysz?

— Juźcić! Massa znów gdera na biednego murzyna.

— Nie pleć i słuchaj! — Posuń się po tej gałęzi, jak daleko będzie można i nie upuść przy tym chrząszcza, a dam ci srebrnego dolara, gdy zejdziesz na dół.

— Dobrze, massa Will! Ja nie od tego — odrzekł murzyn ochoczo — zaraz będę na końcu.

— Na końcu! — odezwał się żałośnie Legrand. — Czy jesteś już na końcu gałęzi?

— Zaraz będę, massa — o-o-och! Chryste Panie, zmiłuj się nade mną! Co to takiego na tym drzewie? x

— Aha! — odkrzyknął Legrand rozradowany. — Cóż tam takiego? u

— Ej! coby tam jak nie czaszka! Ktoś zostawił głowę na tym drzewie, a kruki obskubały ją z mięsa.

— Czaszka, mówisz? Doskonale! — Jak jest przytwierdzona do gałęzi? Co ją przytrzymuje?

— Juźcić trzyma się dobrze — zaraz zobaczę. A to ci dziwo, daję słowo! — W czaszce tkwi wielki gwóźdź, którym jest przybita do drzewa.

— Bardzo dobrze, Jup! Zrób dokładnie co ci każę — słyszysz mnie?

— Tak jest massa.

— No, to uważaj! Poszukaj lewego oka u tej czaszki.

— Hm, to dobre! — Ale ona nie ma lewego oka.

— Bodaj cię licho wzięło z twoją głupotą! Czy możesz odróżnić swą prawą rękę od lewej?

— Jużci^ć, ze wiem — ja wszystko wiem. Moja lewa ręka to ta, którą łupię drzewo.

— Dobrze mówisz, bo jesteś mańkut; otóż twe lewe oko jest po tej samej stronie, co twa lewa ręka. A teraz myślę, że potrafisz znaleźć lewe oko u tej czaszki albo też miejsce, gdzie ono kiedyś być musiało. Czy znalazłeś?

Nastąpiło długie milczenie. W końcu murzyn zapytał:

— Czy lewe oko tej czaszki jest po tej samej stronie, co lewa ręka tej czaszki? — Cóż, kiedy ta czaszka nie ma wcale rąk — ani jej się śni! Ale to nie szkodzi! — Mam już lewe oko, dalibóg, mam! A teraz co z nim zrobić?

— Przesuń przez nie chrząszcza i spuszcza^j go na sznurku w dół aż do samego końca. Tylko pamiętaj, żebyś nie wypuścił sznurka z ręki!

— Jużem gotów, massa Will! To nie sztuka puścić chrząszcza przez dziurę — zaraz go massa zobaczy.

Jupitera podczas tej rozmowy wcale nie było widać, natomiast spuszczaⁿy przezeń w dół owad ukazał się po chwili na końcu sznurka i niby brył-

ka polerowanego złota zamigotał w pierzchającej jaśni zachodzącego słońca, co nikłymi promieniami rozwidniało jeszcze okoliczną wyżynę. Żuk zawisł wolno wśród gałęzi i gdyby był miał spaść, byłby upadł tuż u naszych stóp. Legrand pochwycił kosę i wytrzebił nią kolistą przestrzeń o średnicy do czterech jardów, tuż poniżej owada. Po czym dokonawszy tej pracy kazał Jupiterowi puścić z ręki sznurek i zejść z drzewa.

Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie chrząszcz upadł, wbił mój przyjaciel w ziemię drewniany kołek i wyjął z kieszeni taśmę mierniczą. Przytwierdziwszy jeden jej koniec do pnia tulipanowca w miejscu, skąd było najbliżej do kołka, jął ją rozwijać aż dosięgnęła tegoż kołka i rozwijał dalej w kierunku wytyczonym przez pień drzewa i kołek, na odległość piętnastu stóp. Jupiter zaś tymczasem wycinał krzewy kosą. Osiągnąwszy ten najdalszy punkt wbił tam drugi kołek i posługując się nim jako środkiem opisał dokoła niego pobieżnie koło, którego średnica miała mniej więcej cztery stopy długości. Następnie ujął Legrand jedną łopatę, podał drugą Jupiterowi, a trzecią mnie i prosił nas, byśmy zabrali się skrzętnie do kopania.

Wyznaję szczerze, iż nie czułem nigdy nadzwyczajnego zamilowania do podobnych rozrywek i właśnie wtedy byłbym najchętniej od tej pracy się wymówił, gdyż noc zapadała i dolegało mi już znuże-

nie po przebytych trudach; ale nie wiedziałem, do jakich uciec się pozorów, a przy tym obawiałem się, by odmowa nie wytrąciła znów z równowagi mego biednego przvjaciela. Gdybym był wiedział, że mogę liczyć na pomoc Jupitera, nie wahałbym się ani chwili i przemocą byłbym zabrał szaleńca do domu; zbyt jednak dobrze znałem charakter murzyna i musiałem wyrzec się nadziei, by kiedykolwiek stanął po mej stronie w zatargu ze swym panem. Nie wątpiłem, że Legrand dał się opętać zabobonnym wierzeniom, które krążą na Południu *) o zakopanych skarbach i że utwierdził się w tych mrzonkach znalazłszy żuka lub też może uległ wpływowi Jupitera, który uporczywie utrzymywał, że „ten chrząszcz jest ze szczerego złota“. Umysł skłonny do obłędu poddaje się łatwo podobnym podszeptom, zwłaszcza jeżeli schlebiają one wprzód powziętym, ulubionym ideom. Ponadto przyszło mi na myśl, co ten nieszczęśnik powiedział o żuku, iż „wskaże mu drogę do fortuny“. Słowem, byłem ogromnie zakłopotany i udręczony, lecz ostatecznie postanowiłem z konieczności uczynić cnotę i zabrałem się ochoczo do kopania, by tym rychlej przekonać naocznie szaleńca o płonności jego urojeń.

VII Zapaliliśmy latarnie i jęliśmy się pracy z gorliwością, godną rozsądniejszego celu; kiedy zaś za-

*) Mowa o południowych połaciach Stanów Zjednoczonych. (Przyp. tłum.).

migotało światło na naszych osobach i narzędziach, nie mogłem oprzeć się myśli, że tworzymy nadzwyczaj malowniczą grupę i że przygodnemu wędrowcowi, który by nas przypadkiem dostrzegł, zajęcie nasze wydałoby się zapewne nader podejrzane i dziwne.

Kopaliśmy wytrwale ze dwie godziny. Mówiliśmy niewiele, a najwięcej naprzykrzało się nam ujadanie psa, który z niesłychanym zajęciem śledził przebieg naszej pracy. Stał się w końcu do tego stopnia hałaśliwy, iż zlekliśmy się, by nie obudził czujności okolicznych włóczęgów. Takie przynajmniej były obawy Legranda, bowiem dla mnie wszelkie zamieszanie byłoby wówczas bardzo pożądane, gdyż pozwoliłoby mi doprowadzić mego niepoczytalnego przyjaciela do domu. Ujadanie to poskromił w końcu nader skutecznie Jupiter, który z diabelnie stanowczą miną wyskoczył z jamy, związał psu pysk swą szelką i z pełnym godności uśmiechem zabrał się znowu do roboty.

Po upływie oznaczonego czasu wkopaliśmy się w ziemię do głębokości pięciu stóp, lecz skarbów nie było ani śladu. Nastąpiła dłuższa przerwa i już począłem radować się nadzieją, że cała ta krotchwila ma się wreszcie ku końcowi. Atoli Legrand, jakkolwiek widocznie przygnębiony, otarł w zamiśleniu czoło i jął się pracy na nowo. Cały okrąg o średnicy czterech stóp był już rozkopany; posze-

rzyliśmy go zatem z wolna i pogłębiliśmy jeszcze na dwie stopy. Nic jednak nie znaleźliśmy. W końcu szukający skarbów marzyciel, którego było mi serdecznie żal z wyrazem gorzkiego rozczarowania na twarzy wygramolił się z jamy i począł opieszale wdziewać na siebie zdjętą poprzednio kurtkę. Nie rzekłem na to ani słowa. Jupiter na znak swego pana rozbierał narzędzia. Gdy to się stało, zdjęliśmy psu więzy z pyska i w głębokim milczeniu zśliśmy ku domowi.

Nie odeszliśmy wszakże dalej niż na jakieś dwa-
naście kroków, gdy Legrand z głośnym przekleń-
stwem rzucił się na Jupitera i porwał go za kołnierz. Oślupiały murzyn wytrzeszczył oczy, otworzył szeroko usta, upuścił łopaty i padł na kolana.

— Ty, hultaju! — krzyczał Legrand przez zaciśnięte zęby. — Ty diabelski powsinogo! Mów, odpowiedz mi natychmiast bez wykrętów, które — które jest twe lewe oko?

— Och, mój złoty massa Will! Toć to jest na pewno moje lewe oko! — zaskrzeczał przerażony Jupiter kładąc rękę na swym prawym narzędzie wzroku i przyciskając ją z rozpaczliwą zawziętością, jak gdyby się obawiał, że jego pan wydrze mu to oko.

— Tak też sobie myślałem! — To od razu przyszło mi do głowy! Hurra! — darł się Legrand puszczając murzyna i wykonywując jakis łamańce

i skoki ku zdumieniu swego służącego, który podźwignąwszy się z ziemi wodził kolejno oczyma od swego pana do mnie, to znów ode mnie do swego pana.

— Chodź! Wracajmy! — odezwał się tenże. — Jeszcze nie po wszystkim! — i poprowadził nas znowu w stronę tulipanowca.

— Jup! — zawołał, gdyśmy stanęli pod drzewem. — Chodźno tutaj! Czy ta czaszka jest zwrócona twarzą ku górze, czy też twarzą ku gałęzi?

— Twarz była zwrócona ku górze, massa, dlatego kruki mogły z łatwością wydziobać jej oczy.

— No, dobrze; a przez które oko przesunąłeś chrząszcza, przez to czy przez to? — pytał Le-grand dotykając naprzemian oczu murzyna.

— Przez to, massa — przez lewe oko, jak massa rozkazał — tłumaczył się służący wskazując wciąż swe prawe oko.

— Zobaczymy — spróbujmy jeszcze raz!

Z tymi słowy mój przyjaciel, w którego szaleństwie jałem teraz, jak mi się przynajmniej zdawało, dostrzegać niejaki oznaki celowości, wyjął z ziemi kołek tkwiący na miejscu, gdzie chrząszcz upadł, i przesunął go o trzy cale dalej ku zachodowi. Następnie przeciągnął taśmę mierniczą od najbliższego punktu pnia do tego kołka, podobnie jak poprzednio i oprowadził ją dalej w linii prostej na

odległość piętnastu stóp; w ten sposób znalazł punkt, oddalony o kilka jardów od miejsca, gdzie kopaliśmy poprzednio.

Dokoła tego nowego środka opisał koło, nieco większe od dawniejszego, i znowu zabraliśmy się do łopat. Znużony byłem niewymownie, lecz w umyśle moim, nie wiadomo dlaczego, dokonała się zmiana i nie odczuwałem już nazbyt wielkiej odrazy do tej narzuconej mi pracy. Zaciekawilem się nią niesłychanie, co więcej, zapaliłem się do niej. Być może, iż w chimerycznym zachowaniu się Légranda taił się jakiś zamysł czy zamierzenie, któremu poddałem się poniewolnie. Kopalem skrzętnie i od czasu do czasu zdawałem sobie sprawę, iż z uczuciem bardzo podobnym do oczekiwania, poszukuję oto urojonego skarbu, którego wizja opętała mego nieszczęsnego towarzysza. Minęło blisko półtorej godziny i moje myśli były właśnie wążęsać się wśród mglistych rozmarzeń, kiedy ponownie przerwało nam pracę donośne naszczekiwanie psa. Jego niepokój, który za pierwszym razem był po prostu objawem rozhukania czy rozbawienia, stał się teraz przykrzejszy i poważniejszy. Kiedy Jupiter chciał mu znowu nałożyć kaganiec, opierał się ze wszystkich sił i wskoczywszy do jamy darł zapamiętałe ziemię łapami. W oka mgnieniu wygrzebał mnóstwo ludzkich kości, tworzących dwa całkowite szkielety, wśród których znaleźliśmy kilka metalowych guzików oraz coś, co wydawało się

nam jakby resztkami zetłonej wełny. Za jednym zamachem łopaty wydobyliśmy brzeszczot wielkiego, hiszpańskiego noża, a potem dokopaliśmy się jeszcze trzech czy czterech złotych i srebrnych monet, luźno leżących w ziemi.

Na ich widok radość Jupitera nie miała granic, ale z oblicza jego pana nie schodził wyraz gorzkiego rozczarowania. Mimo to przynaglał nas do pracy, lecz zaledwie dokończył swych słów, kiedy potknąłem się i upadłem przed siebie, zaczepiwszy końcem buta o wielki, żelazny pierścień, który tkwił jeszcze na poły w mialkim piasku.

Pracowaliśmy tedy dalej ze zdwojoną gorliwością i nie zdarzyło mi się odtąd przeżyć drugich dziesięciu minut równie potężnego uniesienia. Wnet zdążyliśmy odwalić ziemię z podłużnej, drewnianej skrzyni, której ściany były tak znakomicie zachowane i tak przedziwnie twarde, iż zapewne musiała być kiedyś impregnowana jakimś rozczynem mineralnym — prawdopodobnie dwuchlorkiem rtęci. Skrzynia ta miała półczwartej stopy głębokości. Umocniono ją silnymi wstęgami z kowanego żelaza, które tworzyły jakby kratę, pospajaną na skrzyżowaniach nitami. Po obu jej stronach, bliżej wieka, znajdowały się po trzy pierścienie żelazne — było ich zatem sześć — przy pomocy których mogło skrzynię podźwignąć sześć osób. Dołożywszy wszystkich sił zdołaliśmy zaledwie poruszyć ją

niewco w łożysku. Przekonaliśmy się rychło, iż żadną miarą nie sprostamy takiemu ogromnemu ciężarowi. Na szczęście, wieko przytrzymały tylko dwa wrzeciądze. Oderwaliśmy je drząc i dysząc z uniesienia. Mignął przed nami skarb nieocienionej wartości. Gdy światło latarni rozwidniło niewco jamę, olśniła nasze oczy promienista rozżęcz nagromadzonego bezładnie złota i klejnotów.

Nie zdołam wysłowić wrażeń, jakich doznałem na ten widok. Oczywiście górowało nad wszystkimi osłupienie. Legrand był widocznie wyczerpany nadmiarem wzruszeń i nie odzywał się prawie. Twarz Jupitera powlokła się na chwilę taką śmiertelną bladością, jakiej nie widywałem jeszcze u murzyna. Skamieniał i wyglądał jak spiorunowany. Po tem rzucił się w jamę na kolana i zanurzył swe obnażone ramiona aż po łokcie w złocie jakby lubując się rozkoszą kąpieli. W końcu z głębokim westchnieniem zawołał, niby przemawiając do siebie:

— A wszystko to zrobił ten złoty chrząszcz, mój śliczny, złoty chrząszcz! mój biedny, złoty chrząszczyk, którego przeklinałem i obmawiałem! — Czy nie wstyd ci, murzynie? Powiedz sam!

Ostatecznie nie było innego sposobu, jak wezwać do opamiętania pana i służącego, i zwrócił im uwagę, iż należałoby zebrać się co rychlej do uprzątnięcia skarbu. Pora była już późna i wypadało się

spieszyć, jeżeli mieliśmy wszystko poznosić przed świtem do domu. Niełatwo przyszło nam zdać sobie sprawę z tego, co należało uczynić i zmarnowaliśmy mnóstwo czasu na naradach — do tego stopnia nie mogliśmy zebrać myśli. Wreszcie postanowiliśmy wyjąć ze skrzyni dwie trzecie zawartości, ażeby była lżejsza, i dopiero wówczas udało się nam, acz nie bez trudu, wydźwignąć ją z jamy. Przedmioty, wyjęte poprzednio, ukryliśmy w krzakach i pozostawiliśmy przy nich na straży psa, któremu Jupiter nakazał surowo, by pod żadnym pozorem nie oddalał się z miejsca i nie ważył się otwierać pyska aż do naszego powrotu. Po czym podążyliśmy pospiesznie ze skrzynią do domu; przybyliśmy do chaty bez przygód, lecz znużeni niesłuchanie, o pierwszej w nocy. Zmęczenie nasze przewyższało ludzkie siły, więc nie podobna było myśleć o natychmiastowym powrocie. Pozostaliśmy przeto do drugiej i spożyliśmy wieczerzę. Wnet potem szliśmy znowu ku wzgórzom, zaopatrzeni w trzy spore worki, które, na szczęście, znaleźliśmy w chacie. Na kilka minut przed czwartą stanęliśmy na miejscu, podzieliliśmy między siebie możliwie równo resztę łupu i nie zasypawszy jam wyruszyliśmy z powrotem do siedziby Legranda, gdzie złożyliśmy po raz wtóry swe drogocenne brzemiona, kiedy już pierwsze, nikłe smugi brzasku jęły się jarzyć nad drzewami od wschodu.

Byliśmy wyczerpani doszczętnie, lecz przemożne podniecenie nie pozwoliło nam na dłuższy spoczynek. Po niespokojnej, kilkugodzinnej drzemce pozrywaliśmy się jak umówieni i przystąpiliśmy do obejrzenia naszych skarbów.

Skrzynia była napelniona po brzegi; potrzeba było całego dnia i znacznej części następnej nocy, by rozejrzeć się w jej zawartości. Nie było w niej ładunku ni składu. Snać wrzucono do niej wszystko nie dbając o porządek. Podzieliliśmy zatem różne przedmioty wedle ich jakości i przekonaliśmy się, że przyszlismy do posiadania znacznie większego skarbu, niżeli na razie nam się zdawało. Same monety przedstawiały wartość przeszło czterystu pięćdziesięciu tysięcy dolarów — a oceniliśmy je możliwie dokładnie wedle bieżących kursów giełdowych. Nie było wśród nich ani odrobiny srebra. Wyłącznie złoto bardzo starożytne i nader rozmaite: pieniądze francuskie, hiszpańskie i niemieckie, trochę gwinei angielskich jako też kilka liczmanów, jakich dotychczas nikt z nas nie widział. Znaleźliśmy także kilka monet, bardzo wielkich i ciężkich, lecz tak już uszkodzonych, że nie mogliśmy odczytać napisów. Pieniądzy amerykańskich nie było wcale. Trudniej przyszło nam oznaczyć wartość drogich kamieni. Naliczyliśmy sto dziesięć diamentów, wśród nich kilka nadzwyczaj wielkich i pięknych, zaś ani jednego małego; osiemdziesiąt wspa-

niałych rubinów; trzysta dziesięć cudownych szmaragdów; dwadzieścia jeden szafirów i wreszcie jeden opal. Wszystkie te kamienie wyłamano z opraw i wrzucono bezładnie do skrzyni. Oprawy znaleźliśmy oddzielnie wśród innych złotych przedmiotów, lecz pogruchotane młotem, jakby z rozmysłem, by nikt ich nie rozpoznał. Ponadto było tam niesłychanie mnóstwo szczerozłotych klejnotów; blisko dwieście kosztownych pierścieni i kolczyków, trzydzieści — jak mi się zdaje — wspaniałych łańcuchów; osiemdziesiąt trzy nadzwyczaj wielkich i ciężkich krucyfiksów; pięć złotych kadzielnic nadzwyczajnej wartości; ogromna, złota waza ponczowa, szczerze ozdobiona misternie cyzelowanymi liśćmi winnymi i korowodem Bachantek; dwie przedziwne rzeźbione rękojeści mieczów tudzież bardzo wiele innych, drobniejszych przedmiotów, których już nie pamiętam. Waga tych kosztowności wynosiła przeszło trzysta pięćdziesiąt funtów nie wliczając do nich trzystu dziewięćdziesięciu siedmiu drogocennych, złotych zegarków, z których trzy były warte co najmniej po pięćset dolarów. Niektóre z nich były nader starożytne i jako czasomierze nie nadawały się już do użytku, gdyż mechanizmy ich ucierpiały wielce od rdzy — ale wszystkie były szczerze ozdobione drogimi kamieniami i mieściły się w ogromnie cennych kopertach. Całą zawartość skrzyni oceniliśmy tej nocy na półtora milio-

na dolarów; wszelako później, gdyśmy jeszcze raz przejrzeni wszystkie kosztowności i klejnoty, przekonaliśmy się, o ile nie doceniliśmy wartości naszego skarbu, aczkolwiek niektóre przedmioty przeznaczyliśmy oddzielnie do własnego użytku.

Przyszedeł wreszcie czas, że ukończyliśmy obliczenia i że niezmierne nasze podniecenie nieco się ukoilo. Legrand widział, że umieram z niecierpliwości szukając rozwiązania tej zdumiewającej zagadki i wyjaśnił mi ją szczegółowo wraz ze wszystkimi okolicznościami.

— Pamiętasz — mówił — ów wieczór, kiedy podałem ci pobieżnie nakreślony szkic, co miał przedstawiać żuka. I przypominasz sobie zapewne, iż po prostu uraził mnie opór, z jakim utrzymywałeś, że mój rysunek ma podobieństwo do trupiej głowy. Gdyś to powiedział po raz pierwszy, sądziłem, że żartujesz; lecz potem przyszły mi na myśl osobliwsze centki na odwłoku chrząszcza i wydało mi się, że twe spostrzeżenie jest poniekąd uzasadnione. Mimo to twe kpiny z mych zdolności graficznych rozdrażniły mnie — gdyż uchodzę za dobrego rysownika — i dlatego, gdyś mi podał ów pergaminowy świstek, chciałem ze złości zmiąć go i rzucić w ogień.

— Ale to chodziło o papierowy świstek — odezwałem się.

— Nie; miał on wygląd papieru i zrazu uważa-

lein go za papier, ale kiedy zacząłem na nim rysować, przekonałem się, że mam do czynienia z kawałkiem bardzo cienkiego pergaminu. Jak wiesz, był on bardzo brudny. Otóż kiedy miałem już go zmiąć, spojrzałem na szkic, który oglądałeś przede mną i wyobraź sobie moje zdumienie, gdy zobaczyłem istotnie rysunek trupiej głowy na tym samym miejscu, gdzie — jak mi się zdawało — naszkicowałem owada. Przez chwilę nie mogłem się opamiętać i skupić myśli. Wiedziałem już, iż mój rysunek różnił się wielce w szczegółach od tego, na który patrzyłem, aczkolwiek było niejakie podobieństwo w najogólniejszych zarysach. Wziąłem tedy świecę i usiadłszy w najdalszym kącie izby zabrałem się do ściślejszego zbadania pergaminu. Odwróciwszy go ujrzałem swój szkic na przeciwnej stronie, na pewno ten sam. Pierwsze me wrażenie streszczało się wyłącznie w zdumieniu nad istotnie zastanawiającym podobieństwem konturów jako też nad szczególniejszym zbiegiem okoliczności, że po drugiej stronie pergaminu mogła widnieć nieznana mi czaszka, tuż pod moją podobizną żuka i że ta czaszka nie tylko konturem, ale także rozmiarem mogła tak bardzo upodobnić się do mojego rysunku. Jak już powiedziałem, ten osobliwszy zbieg okoliczności wprowadził mnie na razie w osłupienie. Jest to zwykłe w takich razach zjawisko. Umysł sili się, by wykazać związek, mianowicie

łącność przyczyny i skutku, i nie mogąc temu podołać ulega jakby chwilowemu obezwładnieniu. Otrząsnawszy się jednak z tego bezwładu jałem stopniowo nabierać przeświadczenia, które przeniknęło mnie nierównie silniej niż ów zbieg okoliczności. Uprzytomniłem sobie bowiem dokładnie i szczegółowo, że na pergaminie nie było ani śladu jakiegokolwiek rysunku, gdy przystępowałem do szkicowania żuka. Nabierałem pewności, że tak było istotnie, gdyż pozostało mi to w pamięci, że spojrzałem najpierw na jedną stronę, a potem na drugą szukając możliwie najczystszej miejsca. Gdyby podówczas widniała tam czaszka, byłbym na pewno ją zauważył. Była w tym jużć jakaś zagadka, ale czułem, że nie podołam jej rozwiązaniu; wszelako już wówczas, w tej wczesnej chwili, w najodleglejszych i najtajniejszych skrytkach mojego umysłu zamigotało nagle, na podobieństwo robaczka świętojańskiego, poczucie tej prawdy, która w przygodach ubiegłej nocy znalazła takie świetne potwierdzenie. Zerwałem się nagle z miejsca i chowając starannie pergamin, odłożyłem dalsze rozmyślenia do czasu zupełnej samotności.

Po twym odejściu, kiedy Jupiter usnął jak zabity, zabrałem się do metodycznego rozpatrzenia tej sprawy. Przede wszystkim zdałem sobie sprawę, w jaki sposób przyszedłem do posiadania owego pergaminu. Miejsce, gdzie dostrzeżliśmy żuka,

znajdowało się na wybrzeżu stałego lądu, o jaką milę na zachód od wyspy i bardzo blisko od granicy najwyższego przyływu morza. Kiedy sięgnąłem po niego, ugryzł mnie mocno i musiałem wypuścić go z ręki. Jupiter ze swą zwykłą ostrożnością, zanim przystąpił do schwywania uciekającego przed nami owada, obejrzał się za liściem lub czymś podobnym, przez co byłoby można go ująć. Otóż w tej chwili ujrzeliśmy obaj równocześnie ów skrawek pergaminu, który zresztą wydał mi się papierem. Był on na pół zagrzebany w piasku i wystawał zeń tylko jednym różkiem. Opodał od miejsca, gdzie go znaleźliśmy, zauważyłem szczątki kadłuba, który kiedyś był zapewne częścią wielkiej, okrętowej łodzi. Ten gruchot, jak mi się zdawało, musiał tam leżeć już od dawna, gdyż niełatwo dawało się w nim dostrzec podobieństwo do wiązania łodzi.

Jupiter podniósł tedy pergamin, owinął weń chrząszcza i podał mi go. Wnet potem szliśmy z powrotem do domu i spotkaliśmy po drodze porucznika G. Pokazałem mu owada, on zaś poprosił mnie, żebym mu pozwolił wziąć go ze sobą do fortu. Kiedy się zgodziłem, włożył go natychmiast do kieszonki swej kamizelki bez pergaminu, w który zawiązałem żuka i którego przez cały czas naszej rozmowy nie wypuszczałem z ręki. Być może, iż obawiał się, bym nie zmienił zdania i sądził, że najlepiej będzie wejść od razu w posiadanie zdobyczy —

wiesz przecie, jak on się zapala do wszystkiego, co pozostaje w związku z wiedzą przyrodniczą. Równocześnie śnać musiałem bezwiednie włożyć pergamin do kieszeni.

Może pamiętasz jeszcze, że kiedy usiadłem przy stole, by narysować żuka, nie znalazłem papieru na zwykłym miejscu. Zajrzałem do szuflady, ale i tam go nie było. Przeszukiwałem kieszenie, by znaleźć jakiś bezużyteczny list i wtedy nawinął mi się pod rękę pergamin. Rozwodzę się tak szczegółowo nad sposobem, w jaki przyszedłem do jego posiadania, gdyż te okoliczności wywarły na mnie nadzwyczaj silne wrażenie.

Pomyślisz sobie zapewne, że narwaniec, lecz zdążyłem już dopatrzeć się pewnego z w i ą z k u. Spoilem dwa ogniwa wielkiego łańcucha. Na brzegu morskim leżała łódź, a opodal od niej ten pergamin — nie papier! — z rysunkiem, przedstawiającym czaszkę. Oczywiście spytasz: gdzież jest ten związek? Odpowiem na to, że czaszka, czyli trupia głowa jest powszechnie znanym godłem korsarzy. Podczas swych wypraw wywieszali oni zawsze flagę z trupią głową.

Wspomniałem już, że ów świstek był z pergaminu, nie z papieru. Pergamin jest bardzo trwały — niemal niezniszczalny. Rzeczy mniejszej wagi rzadko powierzano pergaminowi, ile że do zwykłego pisania czy rysowania nadaje się on o wiele mniej

od papieru. Ta refleksja poddała mi myśl, że trupia głowa nie może być bez znaczenia. Zwróciłem również uwagę na kształt pergaminu. Wprawdzie jeden z jego rogów uległ, skutkiem jakiegoś wypadku, zniszczeniu, mimo to widziało się od razu, że pierwotny jego format musiał być podłużny. Był to zatem kształt karty, jakiej używano ongi do dokumentów — do upamiętnienia czegoś, co jest bardzo ważne i winno być troskliwie przechowywane.

— Ależ — przerwałem — powiedziałaś, że czaszki nie było na pergaminie, kiedy zaczynałaś rysować żuka. Jakże mogłeś dopatrywać się związku między czaszką i łodzią, skoro, jak sam twierdzisz, pojawiła się ona (Bóg tylko wie, w jaki sposób i za czyją sprawą!) dopiero w jakiś czas potem, gdy szkic twój był już ukończony?

— Ach, to właśnie jest osiłą całej tajemnicy, aczkolwiek ten zagadkowy szczegół nie nastroczał mi zby rozwiązaniu większych trudności. Mój pochód był pewny i zmierzał wprost do celu. Rozumowałem mniej więcej w ten sposób: Kiedy rysowałem żuka, czaszki na pergaminie nie było. Ukończywszy rysunek podałem ci go i nie spuszczałem cię z oka aż do chwili, gdy mi go zwróciłaś. Zatem ty nie narysowałaś czaszki i nie było tam nikogo innego, kto by mógł ją narysować. Nie powstała więc za ludzkim przyczynieniem. A jednak, mimo wszystko, istniała.

Dotarłszy w mych rozumowaniach do tego punktu, starałem sobie przypomnieć i z całą dokładnością przypominałem sobie istotnie wszystko, co zaszło w tym czasie. Było chłodno, (co za niezwykły i szczęśliwy wypadek!) i na kominku gorzał ogień. Byłem zgrzany po wycieczce i usiadłem przy stole. Ty natomiast przysunąłeś sobie krzesło aż do samego ogniska. Kiedy podałem ci pergamin i kiedy jąłeś go oglądać, wpadł do pokoju mój newfundlandczyk, Wilk, i wsparł ci się łapami na ramionach. Lewą ręką głaskałeś i odpychałeś go równocześnie, natomiast prawą rękę, w której trzymałeś pergamin, opuściłeś niedbale na kolana, bezpośrednio w pobliżu ognia. Była chwila, kiedy mi się zdawało, że pergamin zajmie się od płomienia i chciałem cię przestrzec, lecz za nim zdążyłem odezwać się, już rękę cofnąłeś i zabrałeś się do oglądania rysunku. Rozważywszy wszystkie te okoliczności, przyszedłem natychmiast do przekonania, że gorąco było tym czynnikiem, który wywołał na pergaminie ową czaszkę. Wiesz dobrze, iż istnieją obecnie i że zawsze istniały odczynniki chemiczne, za pomocą których można pisać na papierze lub welinie w ten sposób, iż nakreślone litery występują na jaw dopiero pod działaniem silniejszego ciepła. Używano w tym celu niekiedy szafranu, rozczynionego w aqua regia i rozpuszczonego następnie w cztery razy większej ilości wody; otrzymywano tym sposobem atrament

zielony. Sól kobaltowa, rozpuszczona w spirytusie saletrowym, daje atrament czerwony. Barwy te zanikają po pewnym czasie, gdy tkanka, na której nimi pisano, ulegnie oziębieniu, i ukazują się znowu po ponownym zastosowaniu ciepła.

Poddałem z kolei trupią głowę drobiazgowemu badaniu. Zewnętrzne jej zarysy — to znaczy, zarysy, bliższe krańców welinu — były znacznie wyraźniejsze niż inne kreski. Z tego wywnioskowałem, że działanie ciepła było albo niezupełne, albo też niejednostajne. Zapaliłem niezwłocznie ogień i ogrzałem mocno całą powierzchnię pergaminu. Jedynym narazie następstwem było wzmocnienie się nikłych linii czaszki; powtarzając atoli tę próbę dostrzegłem wreszcie w kącie owego świstka, wprost naprzeciw miejsca, gdzie widniała trupia głowa, coś, co w pierwszej chwili wydało mi się rysunkiem kozy. Po dokładniejszym jednakże obejrzeniu przekonałem się, że miało to przedstawiać kozłą.

— Ha, ha! — odezwałem się. — Nie mam już cię prawa natrząsać się z ciebie — półtora miliona dolarów, to nie kpiny! Ale coś mi się zdaje, że nie uda ci się włączyć trzeciego ogniwa do twego łańcucha; bo czyż zdołasz wykazać, że istnieje jakiś szczególniejszy związek między twymi korsarzami a kozą? Korsarze, jak wiesz, nie mają nic wspólnego z kozami, które należą do dziedziny gospodarstwa wiejskiego.

— Ależ powiedziałem ci, że ów rysunek nie przedstawiał kozy!

— Zatem koźlę — to na jedno wychodzi.

— Jużcić, że wychodzi, ale nie zawsze — odparł Legrand. Może obiko ci się o uszy nazwisko niejakiego kapitana Kidda?* Otóż rysunek tego zwierzęcia wydał mi się od razu rodzajem logogryficznego lub hieroglificznego podpisu. Powiadam, podpisu; bowiem w takim miejscu znajdował się na welinie, że nasunęła mi się ta myśl. Trupia czaszka umieszczona w rogu przeciwległym, z tego samego względu wywoływała wrażenie pieczęci czy godła. Ale było mi markotno, że nie mogłem znaleźć reszty — mianowicie treści marzonego przeze mnie dokumentu — tekstu, zgodnego z moją myślą.

— Przypuszczam, iż spodziewałeś się jakiegoś pisma między godłem a podpisem.

— Czegoś podobnego. To pewna, iż nieodparcie przenikało mnie przeczucie jakiegoś zbliżającego się, niezmiernego szczęścia. Nie umiem ci powiedzieć, dlaczego. Być może zresztą, iż było to raczej pragnienie niż istotna wiara; lecz czybyś uwierzył, że niedorzeczna gadanina Jupitera, jakoby ów żuk był szczerozłoty, oddziałała silnie na moją wyobraźnię? A potem to całe mnóstwo przypadków i zgodnych

* Kidd, po angielsku: koźlę. (Przyp. tłum.)

okoliczności, czyż nie było naprawdę nadzwyczajne? Czyż nie zdajesz sobie sprawy, jak dalece było to przypadkiem, że wszystko to przydarzyło się właśnie w tym jednym dniu całego roku, kiedy było lub mogło być dość chłodno, by trzeba było zapalić na kominku, i że bez ognia tudzież bez udziału psa właśnie w tej chwili, kiedy wpadł do izby, nigdy nie byłbym dostrzegł trupie! czaszki i co za tym idzie, nigdy nie byłbym posiadał owych skarbów?

— Mówże dalej! Czekam niecierpliwie.

— No, dobrze; oczywiście musiało obić ci się o uszy mnóstwo rozpowszechnionych pogłosek — tysiące niejasnych wieści, krążących o skarbach, zakopanych gdzieś na wybrzeżu atlantyckim, przez Kidda i jego towarzyszy. Te pogłoski musiały jużcić opierać się na rzeczywistości. Istniały one od tak dawna i powtarzały się tak uporczywie, iż nie mogłem tłumaczyć sobie tego inaczej, jak tylko tą okolicznością, że zakopane skarby wciąż jeszcze spoczywały w ziemi. Gdyby Kidd był ukrył swe łupy tylko na jakiś czas i później je wydobył, pogłoski te nie docierałyby do nas w bieżącej, niezmienionej formie. Może zdarzyło ci się zauważyć, że tego rodzaju opowieści mówią zawsze o ludziach, którzy szukają skarbów, nigdy zaś o tych, którzy je znajdują. Gdyby korsarz był odzyskał swe mienie, sprawa ta byłaby przycichła. Mnie się zdaje, że jakiś wypadek — powiedzmy, utrata dokumentu, który wskazywał

miejsce, gdzie je ukryto — uniemożliwiła mu wydobycie skarbu. Sądzę również, że o tym wypadku doszły słuchy do jego towarzyszy, którzy w przeciwnym razie nic w ogóle nie wiedzieliby o zakopanych kosztownościach, i że to oni po nadaremnych, bo pozbawionych wskazówek, poszukiwaniach, najpierw skrycie, a potem zupełnie jawnie jęli rozpowszechniać wieści, znajdujące się obecnie w obiegu. Czy słyszałeś już kiedy o jakim wielkim skarbie, wykopanym na wybrzeżu?

— Nie, nigdy.

— Otóż wiadomo powszechnie, że bogactwa Kida były ogromne. Dlatego wydawało mi się rzeczą pewną, iż spoczywają jeszcze w ziemi; i nie zdziwił się zapewne, gdy ci powiem, że żywiłem nadzieję, spotęgowaną niemal do zupełnego przeświadczenia, iż ów, w tak osobliwy sposób znaleziony pergamin zawiera zaginione wskazówki o miejscu, gdzie te bogactwa ukryto.

— Cóż więc zrobiłeś dalej?

— Ogrzewałem welin coraz silniej nad ogniem, ale nic nie ukazało się. Pomyślałem sobie zatem, iż kto wie, czy powłoka brudu nie jest przyczyną tego niepowodzenia; opłukałem więc pergamin starannie polewając go ciepłą wodą, a potem włożyłem do cynowego rondla, czaszką na dół, i postawiłem rondel na piecu, w którym napaliłem węglem drzewnym. Po kilku minutach, kiedy rondel dobrze się

rozgrzał, wyjąłem ów świstek i przekonałem się ku nieopisanej swej radości, że w kilku miejscach wystąpiły na nim plamki, które wydawały mi się znakami, połączonymi w rzędkie. Włożyłem go znów do rondla na parę minut. Po wyjęciu zobaczyłem już wszystko i zaraz ci to pokażę.

Po tych słowach Legrand ogrzał na nowo pergamin i podał mi go do obejrzenia. Między trupa czaszką a koźlęciem ujrzałem następujące znaki, nakreślone nieudolnie czerwonym atramentem:

53 ††† 305))6x;4826)4 †.4 †);806x;48+8 || 60))85;1†(;†
 8+83(88)5x+;46(;88x96x?;8)x†(;485);5x+2:x†(;4956x2(5
 x-4)8+1|8;4069 2 5);6+8 4††;1(†9;48081;8:8†1;48+85;4)
 485+528806x81(†9;48;/88;4(†?34;18)††;161;:188;†?;

— Mój drogi — rzekłem oddając mu świstek — wciąż jeszcze jestem jak tabaka w rogu. Gdybym w zamian za rozwiązanie tej zagadki miał posiadać wszystkie skarby Goldkondy, nie zdołałbym na pewno dokazać tego.

— A jednak — odpowiedział Legrand — rozwiązanie to bynajmniej nie jest tak trudne, jakby za pierwszym, pobieżnym obejrzeniem tych znaków wydawać ci się mogło. Te znaki, jak łatwo się domyśleć, są szyframi, to jest, mają pewne znaczenie; wszelako z tego, co wiem o Kiddzie, nie sądzę, żeby był zdolny do obmyślenia zawilszych kryptogramów. Od razu przyszło mi na myśl, że muszą być nader

proste — oczywiście, w tej mierze, iż nieokrzesany umysł marynarza bez pomocy klucza przenigdy rozwiązać ich nie zdoła.

— A czy ty je istotnie odczytałeś?

— Z łatwością; odczytywałem już inne, tysiąc razy zawilsze. Okoliczności, a także pewna skłonność umysłu sprawiły, iż zajmowałem się podobnymi łamigłówkami i wątpię bardzo, czy bystrość ludzka może obmyśleć taką zagadkę, której przenikliwość innego człowieka przy pomocy odpowiednich sposobów rozwiązać by nie mogła. Skoro więc powiodło mi się wykryć czytelne i połączone ze sobą znaki, nie myślałem już wcale o trudnościach, jakie nastęrczały się przy ich odczytaniu.

W danym wypadku — podobnie zresztą jak wszędzie, gdzie chodzi o pismo tajemne — pierwszym zagadnieniem jest język szyfru ponieważ zasady rozwiązania, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z mniej zawiłymi szyframi, pozostają w związku i mogą ulegać zmianom zależnie od ducha dotyczącego języka. Na okół nie ma innego sposobu, jak kierując się możliwościami, próbować po kolei wszystkich znanych języków, aż znajdzie się ten, o który chodzi. W szyfrach, które mamy przed sobą, usuwa wszelkie trudności podpis. Łamigłówka ze słowa Kidd jest możliwa tylko w języku angielskim. Gdyby nie ta okoliczność, byłbym rozpoczął poszukiwania od hiszpańskiego i francuskiego, gdyż kor-

sarz, rozbijający na wodach hiszpańskich, napisałby oczywiście swą tajemnicę w jednym z tych dwu języków. Wszedłem atoli z założenia, że kryptogram ten jest angielski.

Jak widzisz, nie ma w nim odstępów między słowami. Gdyby one były, zadanie byłoby bez porównania łatwiejsze. Byłbym zaczął w takim razie od zestawienia i rozbioru krótszych słów, a napotkawszy słowo o jednej tylko literze, na przykład „a” lub „I” *, byłbym uważał rozwiązanie za rzecz pewną. Ponieważ odstępów nie ma, zacząłem od oznaczenia głosek, zarówno tych, które najczęściej, jako też tych, które najrzadziej się powtarzają. Zliczywszy wszystkie zestawilem następującą tablicę:

Znak	8	powtarza się	33	razy
”	;	”	”	26
”	4	”	”	19
”	†	”	”	16
”	x	”	”	13
”	5	”	”	12
”	6	”	”	11
”	1	”	”	8
”	0	”	”	6
”	:3	”	”	4
”	?	”	”	3
”		”	”	2
”	-	”	”	1 raz

*) a — rodzajnik nieokreślony; I — ja. (Przyp. tłum.).

Otóż w języku angielskim spotyka się najczęściej głoskę „e“. Po niej następują z kolei: „a o i d h n r s t u y c f g l m w b k p q x z“. „E“ ma taką przewagę, iż trudno jest znaleźć jakiś dłuższy zwrot, gdzieby go nie było.

Od samego więc początku mamy zasadę, która nadaje się do czegoś więcej niżli do płonnych tylko przypuszczeń. Powszechny użytek, jaki można mieć z tej tablicy, jest widoczny, wszelako w szczególności przy tych szyfrach będzie nam ona niezbyt pomocną. Ponieważ przeważa wśród nich 8, przeto zacniemy od przypuszczenia, że jest to „e“ naturalnego abecadła. By sprawdzić to przypuszczenie, zobaczmy, jak często znak 8 spotyka się parami — gdyż „e“ nader często podwaja się w języku angielskim w takich słowach, jak na przykład: meet, feet, speed, seen, been, agree, itd. W danym wypadku podwaja się ono aż pięć razy, aczkolwiek cały kryptogram jest krótki.

Przyjmijmy zatem, że 8 oznacza „e“. Ze wszystkich słów w języku angielskim najczęściej używa się „the“; zobaczmy przeto, czy nie uda nam się znaleźć kilkakrotnie powtórzonego zestawienia trzech znaków, z których 8 będzie na końcu. Jeśli spotkamy kilkakrotnie takie zestawienie znaków, to nader prawdopodobnie będzie to oznaczało słowo „the“. Przeglądając kryptogram znajdujemy aż siedem ta-

kich zestawień, złożonych ze znaków 48. Możemy więc przypuścić, że ; oznacza „t“, 4 oznacza „h“, a 8 oznacza „e“ — przy czym ostatnie znaczenie potwierdza się już stanowczo. Zrobiliśmy przeto krok naprzód.

Oznaczywszy w ten sposób jedno słowo będziemy mogli z kolei oznaczyć rzecz nader ważną, mianowicie kilka początków i zakończeń innych słów. Weźmy bodaj jeden taki przykład, w którym spotyka się zestawienie ; 48 niedaleko od konca szyfru. Wiemy, że znak ;, który następuje bezpośrednio potem, jest początkiem słowa i że z sześciu znaków, które następują po owym the, pięć jest już nam znanych. Zastąpmy teraz te znaki literami, których mają znaczenie, pozostawiając dla nieznanых wolne miejsce:

t eeth

Od razu możemy odrzucić th, jako nie wchodzące w skład słowa, zaczynającego się od pierwszego t, gdyż przeglądając cały alfabet w poszukiwaniu litery, którą można by wstawić w owo wolne miejsce, przekonywamy się, iż nie podobna jest utworzyć takiego słowa, w którym to th mogłoby stanowić część składową. Ograniczmy się zatem tylko do:

t ee

i przeszukując znów, w razie potrzeby, cały alfabet, dojdziemy do słowa tree (drzewo) jako jedyne

możliwego rozwiązania. Uzyskujemy przy tym inną literę, a mianowicie „r“, oznaczone znakiem (, jako też skojarzenie słów the tree.

Nieco dalej spotykamy znów zestawienie ; 48 i posługujemy się nim jako zakończeniem tego, co je bezpośrednio poprzedza. Otrzymamy w ten sposób kombinację następującą:

the tree ; 4 † ?34 the,

i podstawivszy w miejsce wiadomych znaków odpowiednie litery odczytujemy:

the tree thr † ?3 h the

Jeżeli teraz zamiast znaków nieznanych pozostawimy wolne miejsca lub wstawimy miast nich kropki, to otrzymamy:

the tree thr ... h the

przy czym słowo through (przez) natychmiast przychodzi na myśl.

Odkrycie to zapoznaje nas ponadto z nowymi trzema literami o, u, g, oznaczonymi † ? oraz 3.

Szukając dalej w szyfrze zestawień wiadomych znaków, spotykamy niedaleko od początku kombinację taką:

83 (88 czyli egree,

co oczywiście jest zakończeniem słowa degree (stopień) i poddaje nam znowu jedną literę, mianowicie „d“ oznaczone +.

O cztery litery dalej za słowem degree znajdujemy zestawienie:

; 46 (; 88.

Przekładając znane znaki i zastępując, jak poprzednio, kropkami znaki nieznane, otrzymamy:

th . rtee.

Jest to kombinacja, która natychmiast podsuwa domysłności naszej słowo thirteen (trzynaście) i do rzuca nam dwie nowe głoski i, n, oznaczone 6 i x.

Wracając następnie do początku kryptogramu widzimy zestawienie:

53 $\begin{matrix} \# \\ \# \\ \# \end{matrix}$

Przełożywszy je, jak to czyniliśmy poprzednio, dostajemy:

good,

co zarazem upewnia nas, że pierwszą literą jest A i że dwa pierwsze słowa brzmią: A good.

By uniknąć zamieszania, należałoby teraz zestawić w jedną tablicę nasz klucz, o ile jest już nam znany. Będzie przedstawiała się ona tak:

5	oznacza	a
+	„	d
8	„	e
3	„	g
4	„	h
6	„	i
x	„	n
+	„	o
(„	r
;	„	t

Mamy już zatem aż dziesięć najważniejszych liter i nie potrzebujemy dalej gromadzić szczegółów, by dotrzeć do rozwiązania. Wykazałem ci dostatecznie, że szyfry tego rodzaju są łatwe do odczytania i zapoznałem cię po trosze z rozumową metodą ich odgadywania. Wiedz atoli, iż okaz, który mamy przed sobą, należy do najłatwiejszego rodzaju kryptogramów. Pozostaje mi tylko dać ci zupełny przekład znaków, widniejących na pergaminie, jakby były już rozwiązane. Brzmi on, jak następuje:

A good glass in the bishop's hostel in the devil's seat forty-one degrees and thirteen minutes north-east and by north main branch seventh limb east

side shoot from the left eye of the death's-head a bee line from the tree trough the shot fifty feet out.

(Dobre szkła w hotelu biskupa na siedzeniu diabła czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut północno-zachód i na północ główny pień siódmy konar od zachodu spuścić z lewego oka trupiej czaszki linię prostą od drzewa przez kulę piętnaście stóp dalej).

— Ależ — rzekłem — ta łamigłówka jest mi jeszcze tak samo niejasna jak poprzednio. Bo czyż można dorozumieć się czegoś tego galimatiasu, z tych „diablich siedzeń“, „trupich głów“ i „biskupich hotelów“?

— Przyznaję — odrzekł Legrand — że na pierwszy rzut oka wygląda to wszystko jeszcze dość zawile. Toteż pierwszym moim staraniem było dokonać naturalnego rozdziału zdań, zgodnie z zamierzeniami tego, co je układał.

— To znaczy, położyć znaki pisarskie, nieprawdaż?

— Coś w tym rodzaju.

— W jakież sposób można to zrobić?

— Pomyślałem sobie, że piszący umyślnie zaniedbał podziału na zdania, by utrudnić rozwiązanie. Wszelako człowiek, nie wyposażony nadzwyczajną bystrością, który podejmie się takiego zadania, na pewno popadnie w przesadę. Kiedy bowiem układa-

jąc swój kryptogram dojdzie do przerwy wśród zdań, która z natury rzeczy wymagałaby kropki lub pauzy, wówczas nie zdoła oprzeć się pokusie, by właśnie w tym miejscu nie skupić swych znaków gęściej niż zazwyczaj. Obejrzyj rękopis, o którym mówimy, a z łatwością znajdziesz aż pięć takich objawów niezwykłego nagromadzenia. Powodując się tą wskazówką, dokonałem podziału w następujący sposób:

A good glass in the bishop's hostel in the devil's seat — forty-one degrees and thirteen minutes — northeast and by north — main branch seventh limb east side — shoot from the left eye of the death's-head — a bee line from the tree through the shot fifty feet cut.

(Dobre szkła w hotelu biskupa na siedzeniu diabła — czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut — północno-zachód i na północ — główny pień siódmy konar od zachodu — spuścić z lewego oka trupiej czaszki — linię prostą od drzewa przez kulę piętnaście stóp dalej).

— Nawet przy tym podziale — odezwałem się — wciąż jeszcze nic nie wiem.

— Ja także nic nie wiedziałem — odrzekł Legrand — ale tylko przez kilka dni. Spędziłem je na skrzętnych poszukiwaniach w okolicy Wyspy Sullivana wywiażdząc się o budynek, który by nosił nazwę Bishop's Hotel (hotel biskupi), gdyż oczy-

wiście nie dałem się stropić przestarzałemu słowu hostel *). Nie dowiedziawszy się niczego zamierzałem już rozszerzyć zakres moich poszukiwań i prowadzić je nadal bardzo systematycznie, gdy pewnego poranku strzeliło mi nagle do głowy, że ten Bishop's Hostel może pozostawać w związku ze starożytną rodziną Bessopów, która w zamierzchłych czasach posiadała odwieczne zamczysko o cztery mile na północ od wyspy. Udałem się więc na plantację i jałem wypytywać najstarszych z okolicznych murzynów. W końcu pewna sędziwa staruszka powiedziała mi, że słyszała o miejscu, zwanym Bessop's Castel (zamek Bessopa) i że mogłaby mnie tam zaprowadzić, lecz że nie jest to zamek ani gospoda, ale wysoka skała.

Obiecałem, że ją hojnie wynagrodzę, więc po chwili namysłu podjęła się być moją przewodniczką. Dotarliśmy na miejsce bez trudu. Odprawiłem babinę i począłem się rozglądać. „Zamek“ składał się z beładnego nagromadzenia wiszarów i skał, z których jedna wyróżniała się wielce zarówno swą wysokością jak swym odosobnieniem i jak gdyby sztucznym wyglądem. Wspiąłem się na jej szczyt i byłem bardzo zakłopotany, co dalej czynić należy.

Kiedy pograżyłem się w myślach, oczy moje pały na wąski brzeżek u wschodniego zbocza skały,

*) Dawna pisownia hotel. (Przyp. tłum.).

położony o jaki jard niżej wierzchołka, na którym stałem. Brzeżek ten sterczał zaledwie na osiemnaście cali i miał niespełna stopę szerokości, zaś wnąka w wiszarze, która widniała tuż ponad nim, czyniła go poniekąd podobnym do owych krzeceł z wygłębionym oparciem, którymi posługiwali się nasi przodkowie. Nie wątpilem ani przez chwilę, że jest to owo „siedzenie diabła“, o którym znajdowała się wzmianka w rękopisie. i utwierdziłem się w przeświadczeniu, że uda mi się w zupełności rozwiązać tę zawiłą łamigłówkę.

Wiedziałem, iż przez „dobre szkła“ należy rozumieć tylko teleskop, gdyż marynarze słowa „szkła“ rzadko kiedy w innym używają znaczeniu. Zdąłem sobie natychmiast sprawę, iż trzeba będzie uciec się do pomocy teleskopu i posłużyć się nim z pewnego, ściśle określonego punktu, nie dopuszczającego żadnego zboczenia. Nie powątpiewałem również, iż zwroty: „czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut“ jako też „północno-zachód i na północ“ są wskazówkami, jak należy skierować teleskop. Podniecony niezmiernie tymi odkryciami, pospieszyłem do domu, postarałem się o teleskop i powróciłem z nim na skałę.

Zsunąłem się po niej na ów brzeżek i przekonałem się, że można tam usiąść tylko w pewnej, określonej pozycji. Ta okoliczność potwierdziła moje poprzednie przypuszczenia. Zabrałem się z kolei

do teleskopu. Słowa „czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut“ mogły, oczywiście, odnosić się tylko do elewacji powyżej widzialnego widnokręgu, natomiast kierunek poziomy wyraźnie podawała wzmianka „północno-zachód i na północ“. Oznaczyłem ten kierunek za pomocą kompasu kieszonkowego, następnie ustawiłem możliwie najdokładniej mój teleskop pod czterdziestym pierwszym kątem elewacji i dopóty poruszałem nim ostrożnie w górę i na dół, aż dostrzegłem kolisty otwór, czyli jakby okienko wśród listowia wielkiego drzewa, które górowało w oddali nad wszystkimi innymi. W środku tego okienka zauważyłem białą plamę, lecz nie mogłem zrazu rozpoznać, co to było. Dopiero nastawiwszy ostrzej soczewkę, przekonałem się, że była to trupia czaszka.

Po tym odkryciu zagadka wydała mi się już rozwiązana, gdyż zwroty „główny pień, siódmy konar, od zachodu“ mogły jużcić odnosić się tylko do umieszczenia czaszki na drzewie, zaś „spuścić z lewego oka trupiej czaszki“ tylko poszukiwanie zakopanego skarbu mogło mieć na względzie. Dorozumiałem się, iż rzecz polega na tym, ażeby z lewego oka czaszki spuścić jakąś gałkę i przeprowadzić linię prostą od najbliższego punktu pnia przez „kulę“ (to znaczy, przez miejsce, gdzie owa gałka upadnie), a następnie oprowadzić ją dalej na odległość piętnastu stóp i w ten sposób otrzymać

określony punkt, gdzie, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, ukryto skarb ów w ziemi.

— Wszystko to — przemówiłem — jest nadzwyczaj jasne i olśniewa swą pomysłowością zachowując przy tym prostotę i dokładność. Cóż stało się dalej, gdy powróciłeś z Bishop's Hotel?

— Zanim poszedłem do domu, zapamiętałem sobie dokładnie owo drzewo. Było to potrzebne, gdyż zeszedłszy z „diabelskiego siedzenia“ straciłem zaraz owo koliste okienko z oczu i z żadnego innego miejsca dojrzeć go już nie mogłem. Jak mi się zdaje, całe mistrzostwo tej zagadki da się sprowadzić do tej okoliczności, iż okienko to widne jest tylko z wąskiego brzeżka u skalnej ściany.

Na wyprawę do „Biskupiego Hotelu“ zabrałem ze sobą Jupitera, który zapewne już na kilka tygodni przedtem zauważył moje roztargnienie i dokładał wszelkich starań, żebym nie był sam. Lecz zaraz następnego dnia wstałem bardzo wcześnie, wymknąłem się przed nim po kryjomu i poszedłem na wzgórze, by odszukać owo drzewo. Zmitrężyłem niemało czasu, zanim zdażyłem je znaleźć. Gdy nocą powróciłem do domu, mój służący miał chętkę mnie obić. Co dalej się stało, wiesz również dobrze jak ja sam.

— Sądzę — odezwałem się — iż twoja pomyłka przy pierwszym kopaniu wyniknęła z głupoty Ju-

pitera, który spuścił żuka przez prawe, a nie przez lewe oko czaszki.

— Tak też było istotnie. Błąd ów spowodował różnicę półtrzecia cala u „kuli“ — to znaczy, w miejscu, gdzie tkwił pałik, wbity najbliżej od drzewa; gdyby skarb znajdował się tuż pod „kulą“, pomyłka ta nie miałyby znaczenia; atoli ta „kula“ wraz z najbliższym punktem pnia były jedynie dwiema wytycznymi kierunku: przeto błąd, aczkolwiek zrazu nieznaczny, powiększał się w miarę przedłużania linii i kiedy przeprowadziliśmy ją na odległość piętnastu stóp, stał się przyczyną nader znacznego zboczenia. Gdyby nie moje głębokie przeświadczenie, że gdzieś w pobliżu skarb ten przecież znajdować się musi, wszystko nasza praca byłaby poszła na marne.

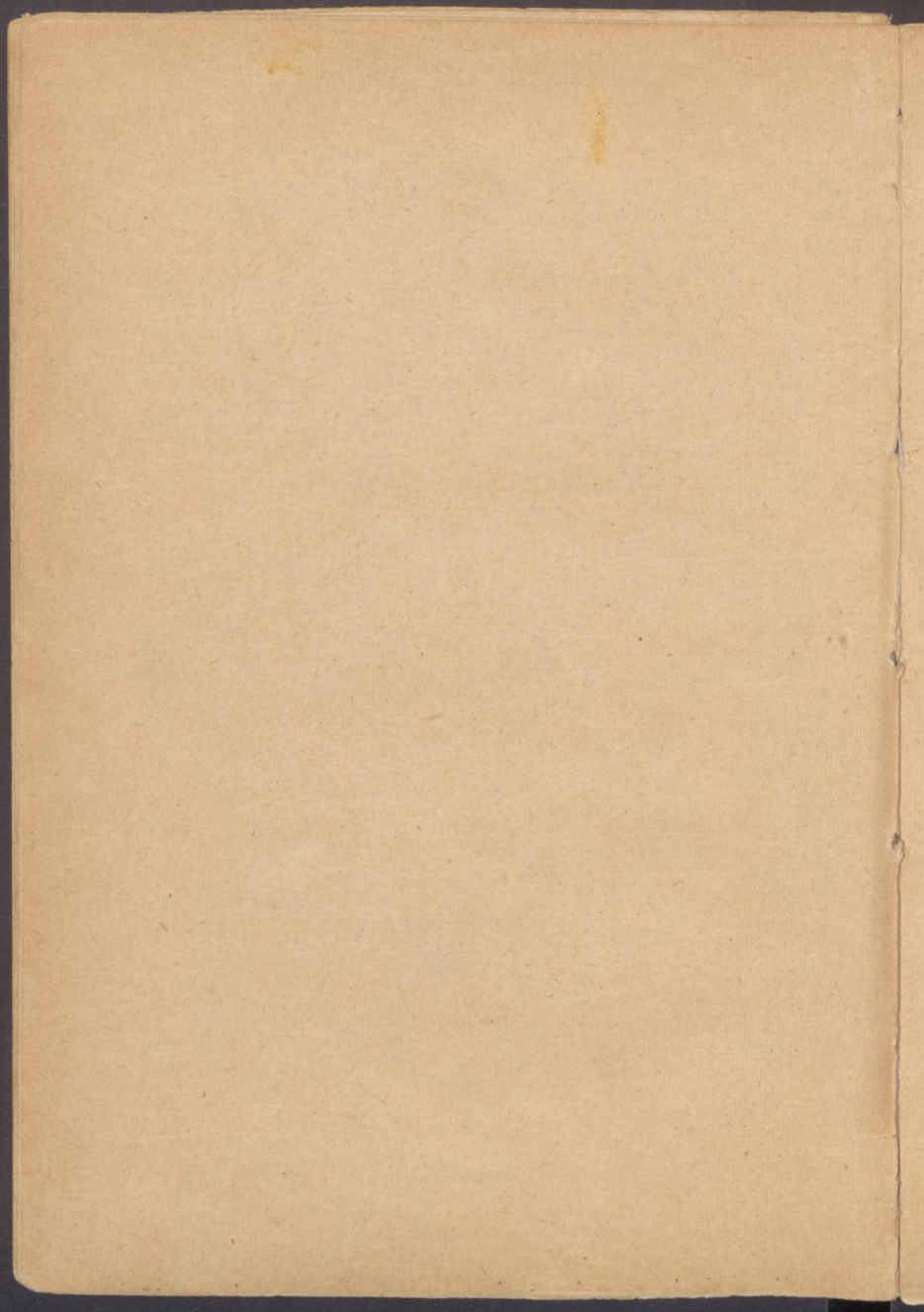
— A ta twoja pompatyczność, te twoje igraszki z żukiem — cóż to było za dziwactwo? Byłem przekonany, że oszalałeś. I dlatego upierałeś się tak bardzo, żeby z oka czaszki spuścić tego chrząszcza zamiast użyć do tego jakiej gałki?

— Mój drogi, wyznam ci szczerze, iż drażniły mnie nieco twe powątpiewania o moim zdrowiu, więc postanowiłem skarcić cię moim zwyczajem spokojnie i obmyśliłem na chłodno tę maleńką mistyfikację. Dlatego wymachiwałem żukiem i kazałem spuścić go z drzewa. Pomysł ten poddało mi twe spostrzeżenie, że jest bardzo ciężki.

— Rozumiem cię. A teraz jeszcze jedna rzecz, która mnie zaciekawia! Co myślisz o szkieletach, które znaleźliśmy w jamie?

— Na to pytanie nikt z nas nie zdoła odpowiedzieć. Wszelako zdaje mi się, iż dałoby się to wytłumaczyć tylko w jeden sposób — jakkolwiek moje przypuszczenie jest tak okropne, iż trudno jest w nie uwierzyć. To pewna, że Kidd — oczywiście, jeśli to Kidd zakopywał te skarby, o czym zresztą nie wątpię — otóż to pewna, że musiał mieć pomocników przy pracy. Kiedy jednak była już na ukończeniu, uznał zapewne za rzecz potrzebną pozbyć się swych towarzyszy, którzy znali jego tajemnicę. Być może, iż wystarczyły dwa krzepkie uderzenia motyką, gdy jego pomocnicy byli jeszcze zajęci w dole. A może tych uderzeń trzeba było znacznie więcej — kto to wie?

STUDNIA i WAHADŁO



Byłem złamany, złamany śmiertelnie tym przewlekłym konaniem i kiedy w końcu zdjeli ze mnie więzy i pozwolili mi usiąść, uczułem, iż odchodzę od przytomności. Wyrok — straszliwy wyrok śmierci — był ostatnim wyraźnym brzmieniem, które obilo się o moje uszy. Potem wydało mi się, że głosy inkwizytorów roztapiają się w jakimś sennym, nieokreślonym szumie. Wywoływał on w mej duszy wrażenie o b r o t u, może dlatego, że wyobrażenia moja skojarzyła go z kołem młyńskim. Trwało to bardzo krótko, gdyż wnet przestałem zupełnie słyszeć. Mimo to widziałem jeszcze czas jakiś; lecz jakież straszliwy wygląd przybierało wszystko w mych oczach! Widziałem wargi przyodzianych w czerń sędziów. Wydawały mi się one białymi — bielszymi od kartki, na której kreślę te słowa — i nieprawdopodobnie cienkimi: jak gdyby ścięczały pod wpływem wytężonej stanowczości, zakrzepłej nieodwołalności i srogiej wzgardy dla męczarni ludzkiej. Widziałem, jak rozstrzygnięciem mojego losu drgały jeszcze te usta. Widziałem, jak zacinały się orzekając kaźń śmierci. Widziałem, jak

kształtowały się na nich zgłoski mojego nazwiska i drzałem, by nie przyszła kolej na dźwięki. W nikłym mgnieniu obłądnej trwogi widziałem również lekkie i omal niedostrzegalne falowanie czarnych opon, osłaniających ściany komnaty. Następnie wzrok mój padł na siedem wielkich świec, ustawionych na stole. Zrazu miały one wygląd litosny i wydawały mi się białymi, smukłymi aniołami, co przysły, by mnie ocalić; lecz wnet potem mdłość jakaś śmiertelna zalała mi duszę i nagły wstrząs przeniknął wszystkie włókna mojego ciała, jak gdybym dotknął przewodnika baterii elektrycznej, a zjawy anielskie przedzierzgnęły się w bezduszne widziadła o głowach z płomienia i zrozumiałem, że pomocy od nich spodziewać się nie można. Po chwili przez mą wyobraźnię na kształt bujnej, dźwięcznej melodii, przemknęła myśl, jak słodko musi być w grobie. Myśl ta przyszła z cicha i skrycie, i miałem wrażenie, jak gdyby nieprędko objawiła się w nieocenionej swej pełni; kiedy zaś duch mój począł w końcu właściwie ją odczuwać i nią się lubować, postacie sędziów, jak na zaklęcie, zniknęły mi nagle z oczu; wielkie świece zapadły w nicość; płomienie ich pierzchły; otoczyła mnie czern mroków; wszystkie wrażenia zdawały się przepadać w obłądnym, rwącym zamierzchu duszy, odchodzącej w zaświaty. W końcu wszechświat omglał się nocą, cichością i milczeniem.

Straciłem przytomność; nie powiedziałbym jednakże, iż postradałem zupełnie świadomość. Co z niej pozostało? — tego nie zamierzam określać, a tym mniej opisywać; to pewna, iż nie wszystko zanikło. Dziejeż się to w odurzeniu sennym? — nie! W obłądnie? — nie! W omdleniu? — nie! W śmierci? — nie! Nawet w grobie nie wszystko zanika. Gdyby było inaczej, nie byłby człowiek nieśmiertelnym. Budząc się z najgłębszego snu zrywamy pajęczą tkankę jakiegoś marzenia. Ale w chwilę później (tak nikła snadź była ta tkanka!) nie przypominamy już sobie, żeśmy śnili. Powracając z omdlenia do przytomności przechodzimy dwa okresy; pierwszym jest poczucie istnienia umysłowego czy duchowego; drugim poczucie istnienia fizycznego. Gdybyśmy przechodząc do okresu drugiego mogli wywołać wrażenia z okresu pierwszego, to wydaje mi się rzeczą możliwą, iż te wrażenia zawierałyby mnóstwo wymownych wspomnień z otchłani pozaświadomej. Czymże jest ta otchłań? I czym różnią się jej mroki od cieniów grobu? Jakkolwiek wszakże wrażenia z tego stanu, który nazwałem pierwszym okresem, nie dają wywoływać się dowolnie, to czyż po pewnym czasie nie przychodzą one same ku wielkiemu naszemu zdumieniu, skąd się wzięły? Kto nigdy nie odchodził od przytomności, ten nie dojrzy czarodziejskich grodów i potwornie znajomych twarzy

w jarzących się głowniach; ten nie dostrzeże w napowietrznych przestworzach pierzchliwych, smętnych wizji, niewidzialnych dla oczu tłumów; ten nie będzie rozpamiętywał woni jakiegoś nieznanego kwiatu i nie będzie zaciekał się myślą w jakiejś niezasłyszanej dotychczas gęźbie.

Wśród częstych i uporczywych wysiłków, by sobie przypomnieć, wśród wyteżonych starań, by natknąć na ślady owego stanu pozornej nicości, w której pograżyła się ma dusza, bywały chwile, kiedy marzyłem o powodzeniu; bywały krótkie, przelotne okresy, gdy wyczarowywałem wspomnienia, które później, rozpatrywane w świetle rozumu, wykazywały ścisłą swą zależność od owej rzekomej nieprzytomności. W mgławicach tych wspomnień majaczą niewyraźnie smukłe postacie, które wzięły mnie i uniosły w milczeniu, hen, w dół — coraz głębiej i głębiej, aż czczość zawrotna ogarnęła mnie wreszcie na samą myśl o nieskończoności tego spadania. Pozostała także pamięć jakiegoś nieuchwytnego lęku, wywołanego nienaturalnym uspokojeniem się serca. Potem nawiedziło mnie poczucie nagłego bezruchu wszechrzeczy, jak gdyby upiorny orszak zstępując ze mną coraz niżej minął rubież bezkresów i zatrzymał się znużony nieskończonością swego dzieła. Następnie owiała mnie wilgoć i opanowała niemoc; po czym nade wszystkim roz-

postarł się o błąd — błąd pamięci, miotającej się wśród rzeczy piekielnych.

Wtem z nagłą wszczął się w mej duszy ruch i szmer — rozgłośny ruch serca, którego tętno rozlegało mi się w uszach. Lecz wnet nastąpiła głucha przerwa. Po niej znów szmer, ruch i drżenie, przenikliwym dreszczem rozchodzące się po ciele. Następnie pierwsza świadomość istnienia, pozbawiona myśli; stan ten trwał długo. Z kolei nagły przebłysk myśli i wstrząs grozy, i zawzięty wysiłek, by zdać sobie sprawę z własnego stanu. Potem dziwna żądza, by pogrążyć się znów w bezczuciu. Potem błyskawiczne przebudzenie się duszy i pomyślna próba ruchu. I oto pełna świadomość dochodzeń, sędziów, czarnych opon, wyroku, osłabienia i zemdlenia. Następne zdarzenia wypadły mi zupełnie z pamięci; dopiero znacznie później i po najgłębszym namyśle zdołałem je sobie w przybliżeniu przypomnieć.

Dotychczas nie otwierałem oczu. Czulem, że nie mam na sobie więzów i że leżę na wznak. Wyciągnąłem rękę, która spadła ciężko na coś twardego i mokrego. — Nie ruszałem jej czas jakiś usiłując odgadnąć, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Pragnąłem rozejrzeć się, ale nie śmiałem. Przeraziła mnie myśl o pierwszym spojrzeniu na otaczające przedmioty. Nie bałem się, że ujrzę rzeczy potworne, lecz truchlałem w przypuszczeniu, iż mogę nie

nie zobaczyć. W końcu z dziką rozpaczą w duszy rozwarłem spiesznie oczy. Trapiąca mnie myśl okazała się prawdziwa. Spowijała mnie czerń wiekuistej nocy. Oddychałem z trudnością. Miałem wrażenie, że gęstość mroków gniecie mnie i dławi. Powietrze było nieznośnie duszne. Wciąż jeszcze leżałem spokojnie i starałem się skupić władze rozumu. Uprzytomniłem sobie postępowanie Inkwizycji i na tej podstawie usiłowałem zdać sobie sprawę z rzeczywistego mego położenia. Wyrok zapadł, a od tej chwili — jak mi się zdawało — upłynął znaczny odstęp czasu. Mimo to nawet nie zakiełkowało we mnie przypuszczenie, jakoby istotnie rozstał się z życiem. Myśl taka, wbrew temu, co wypisuje się w książkach, wręcz nie da się pogodzić z bytem rzeczywistym. Ale gdzie byłem i w jakim stanie? Wiedziałem, iż skazani na śmierć ginęli zazwyczaj na stosie. Podobne auto-da-fe odbyło się w wigilię mojej rozprawy sądowej. Czyżby odesłano mnie z powrotem do więzienia i przeznaczono na całopalenie dopiero za kilka miesięcy? To przypuszczenie wydało mi się od razu niepodobieństwem. Potrzebowano ofiar niezwłocznie. Przy tym moje dawniejsze więzienie, jak wszystkie zresztą cele skazańców w Toledo, miało kamienną posadzkę i nie całkiem było pozbawione światła.

Wtem zaświtała mi myśl tak straszna, iż krew wrzącą strugą uderzyła mi do serca i jeszcze raz

na chwilę pograżyłem się w beczuciu. Gdym przyszedł do siebie, zerwałem się w oka mgnieniu na nogi, przeniknięty dreszczem do rdzenia. Jąłem bez namysłu wywijać ramionami na wszystkie strony, ponad sobą i dokoła siebie. Nie czułem nic; wszelako bałem się postąpić naprzód, by nie natknąć na ścianę grobu. Pot sączył się ze mnie wszystkimi porami i w zimnych, ciężkich kroplach osadzał się na mym czole. Katusza niepewności wzmogła się w końcu ponad me siły i jąłem ostrożnie stąpać z wyciągniętymi przed siebie ramionami i występującymi z orbit oczyma spodziewając się, iż dojrzę wreszcie chociażby najniklejszy promyk światła. Uszedłem kilka kroków, lecz zewsząd ziała czerń i próżnia. Odetchnąłem swobodniej. Widocznie los mój nie był jeszcze najgorszy.

Kiedy posuwałem się ostrożnie naprzód, zaroilić się w mej pamięci od tysiąca błędnych pogłosek o okropnościach w Toledo. O więzieniach opowiadano sobie niemożliwości — baśnie, jak mniemałem — lecz tak dziwaczne i tak upiorne, iż nie dażą się powtórzyć, chyba szeptem. Czy w tym podziemnym świecie mroków miałem zginąć z głodu, czy też zgotowano mi zgon jeszcze straszniejszy? Poznałem dokładnie charakter mych sędziów i wiedziałem, że nie minie mnie śmierć i to okrutniejsza, niż bywało zazwyczaj. Kiedy i w jaki sposób

miało się to dokonać? — oto jedyna myśl, która mnie zastanawiała i niepokoiła.

Moje wyciągnięte ręce napotkały w końcu jakąś silną zaporę. Była to ściana, pozornie kamienna, bardzo gładka, oślizła i zimna. Jałem stapać wzdłuż niej ostrożnie i z niedowierzaniem, rozbudzonym przez niektóre starodawne wieści. Atoli to przedsięwzięcie żadną miarą nie mogło mnie upewnić co do rozmiarów mego więzienia, gdyż mogłem je okrążyć, powrócić na miejsce, skąd wyszedłem i bynajmniej tego nie zauważyć, tak dalece mur jego wydawał się jednostajnym. Począłem więc szukać szczyryka, który miałem w kieszeni, gdy mnie przyprowadzono do sali sądowej, ale już go nie było; zamiast ubrania miałem na sobie szorstką włosienicę. Zamierzałem wetknąć ostrze w szczelinę ściany, by w ten sposób oznaczyć punkt wyjścia. Była to wprawdzie przeszkoda dość błaha, ale myśli moje błąkały się tak bezładnie, iż w pierwszej chwili wydawała się mi niepodobieństwem. W końcu oddarłem kawałek rąbka od mego płaszcza i rozciągnąłem go na ziemi, pod kątem prostym do ściany. Kołując omackiem musiałem wreszcie dojść do tego strzępa po okrążeniu całego obwodu. Przynajmniej tak sądziłem, przeliczyłem się jednak — sam nie wiem — czy na rozległości więzienia, czy też na własnym osłabieniu. Ziemia była mokra i śliska. Szedłem staniając się co chwila, po czym potkną-

tem się i upadłem. Przemogło mnie niezmierne znużenie i zasnąłem nie ruszając się z miejsca.

Kiedym się ocknął i wyciągnął przed siebie ramię, znalazłem obok bochenek chleba i dzban wody. Zbyt byłem wyczerpany, by zastanawiać się nad tym zdarzeniem, lecz pożądliwie zaspokoilem głód i pragnienie. Wnet potem ruszyłem w dalszą drogę dookoła mego więzienia i z niemałym trudem dotarłem w końcu do strzępa włosiennicy. Do chwili upadku naliczyłem pięćdziesiąt dwa kroki, kiedym zaś podjął na nowo mój pochód, uszedłem jeszcze czterdzieści osiem kroków, zanim stanąłem przy owym strzępie. Zrobiłem więc ogółem sto kroków; licząc dwa droki na jeden j a r d, wywnioskowałem, iż więzienie moje ma pięćdziesiąt j a r d ó w obwodu. Napotkałem atoli wiele załamek w murze i dlatego nie zdołałem zdać sobie sprawy z kształtu tego podziemia, nie mogłem bowiem oprzeć się przypuszczeniu, iż przebywam w podziemiu.

W poszukiwaniach moich nie było celu — a tym mniej nadziei; nie zaprzestawałem ich tylko przez jakąś nieokreśloną ciekawość. Oddaliwszy się od ściany postanowiłem przejść me więzienie w poprzek. Zrazu szedłem nadzwyczaj ostrożnie, gdyż posadzka, aczkolwiek utworzona z twardego na pozór materiału, była zawodna i śliska. Wszelako później nabrałem otuchy i nie wahałem się stapać

pewniej starając się o ile możności nie zobaczyć z do-
mniemanej, poprzecznej linii. Zrobiłem w ten spo-
sób około dziesięciu lub dwudziestu kroków, gdy
resztką udartego rąbka włosiennicy podwinęła mi
się pod nogi. Nastąpiłem na nią i upadłem jak dłu-
gi twarzą do ziemi.

Byłem tak oszołomiony upadkiem, iż nie zauwa-
żyłem zrazu pewnej niepokojącej okoliczności, któ-
ra jednakże w chwilę później, kiedy jeszcze leżał
na ziemi, zwróciła moją uwagę. Oto moja broda
spoczywała na posadzce więzienia, natomiast war-
gi tudzież górna część głowy, jakkolwiek nachylo-
ne jeszcze niżej, już nie dotykały niczego. Równocześnie musnęły mi czoło jakieś lepkie wyziewy
i osobliwszy zapach stęchłych grzybów wtargnął
do moich nozdrzy. Wyciągnąłem ramię przed sie-
bie i przekonałem się z przerażeniem, że upadłem
na sam skraj kolistej studni, której rozmiarów nie
mogłem — rzecz prosta — zbadać od razu. Doty-
kając omackiem cembrowiny tuż pod wrębem,
zdołałem odłupać jakiś okruch i rzuciłem go w głę-
bię. Przez kilka sekund słyszałem, jak spadał obija-
jąc się w przelocie o ściany czeluści; w końcu roz-
legł się posępny plusk wody, któremu zawtórowa-
ły rozgłośnie echa. W tej samej chwili doleciał mnie
z góry szmer jak gdyby pospiesznie otwartych i za-
raz potem zamkniętych drzwi, a równocześnie nikła
smuga świetlna mignęła w mrokach i znów zagasta,

Zdałem sobie sprawę z losu, który mi zgotowano i błogosławiłem przypadek, co przyszedł w porę, by mnie ocalić. Gdybym nie był upadł i postąpił jeszcze o krok dalej, byłbym przepadł dla świata na zawsze; śmierć, której uniknąłem, była właśnie tego rodzaju, który wydawał mi się głupstwem i zmyśleniem w opowieściach, krążących o Inkwizycji. Ofiary jej okrucieństwa miały do wyboru zgon wśród najstraszliwszych mąk cielesnych lub zatrutę wśród najprzeróżniejszych udręczeń duchowych. Mnie to drugie przeznaczono w udziale. Długie cierpienia rozprzęgły me nerwy do tego stopnia, iż wzdrygnąłem się na dźwięk własnego głosu i ze wszech miar nadawałem się do tortury, która mnie oczekiwała.

Drżący na całym ciele wróciłem omackiem pod ścianę i postanowiłem zczeznać tam raczej niż narażać się znów na grozę studzien, których — jak sobie wyobrażałem — w różnych miejscach mojego więzienia musiało być więcej. W innym usposobieniu umysłu nie zbywałoby mi na odwadze i byłbym przyspieszył kres mej niedoli rzucając się w jedną z tych czeluści; ale podówczas byłem nikičemnym tchórzem. Przy tym nie mogłem zapomnieć o tym, co zdarzyło mi się ongi czytać o tych studniach, mianowicie, iż nagłej śmierci nie miały one bynajmniej na celu.

Targany rozterką czuwałem długo; w końcu jednak zasnąłem powtórnie. Po przebudzeniu znów znalazłem obok bochenek chleba i dzban wody. Trawiło mnie nieznośne pragnienie, więc jednym tchem wychyliłem naczynie do dna. Widocznie domieszano czegoś do wody, gdyż zaraz po jej wypiciu zmorzyła mnie nieprzewyciężona senność. Ogarnął mnie sen głęboki, podobny do śmierci. Nie wiem, jak długo spałem; kiedym jednak otworzył oczy, dostrzegłem otaczające mnie przedmioty. Jakieś dziwne, siarczane blaski, których pochodzenia nie umiałem zrazu sobie wytłumaczyć, pozwoliły mi zdać sobie sprawę z rozmiarów i wyglądu więzienia.

Co do jego wielkości pomyliłem się bardzo. Cały obwód ścian nie przynosił dwudziestu pięciu jardów. Spostrzeżenie to sprawiło mi na chwilę niewymowną, lecz błahą przykrość; błaha była ona zaiste, gdyż w straszliwych okolicznościach, w jakich się znajdowałem, cóż mogło mnie mniej obchodzić od rozmiarów mojego więzienia? Lecz moja dusza przejmowała się zapamiętałe drobnostkami, więc zaciekałem się w myślach, by obliczyć błąd popełniony przy pomiarach. W końcu zaświtała mi prawda. Gdym po raz pierwszy przystąpił do badania, naliczyłem pięćdziesiąt dwa kroki od chwili upadku; znajdowałem się przeto o krok lub dwa od strzępa włosiennicy i okrążyłem obwód podzie-

nia niemal w całości. Potem zasnąłem, a po przebudzeniu musiałem pójść z powrotem i na tej podstawie wywnioskowałem, iż obwód wynosi blisko dwa razy więcej niż w rzeczywistości. Śród beładnej rozterki nie zauważyłem, iż zacząłem mój pochód mając ścianę od strony lewej, a skończyłem go mając ją od strony prawej.

Poblądziłem również co do kształtu mej celi. Szukając po omacku drogi napotkałem wiele kątów i w ten sposób wytworzyłem sobie przeświadczenie o wielkiej nieregularności; tak przemożny jest wpływ nieprzeniknionych mroków na człowieka, rozbudzonego z letargu lub ze snu! Kąty te były po prostu płytkimi wgłębieniami, czyli wnękami, rozmieszczonymi w nierównych odstępach. Ogólny kształt więzienia był czworoboczny. Domniemany mur wydał mi się teraz ścianą z żelaza czy też innego metalu, utworzoną z olbrzymich płyt, których szwy i spojenia były przyczyną owych wgłębień. Całą powierzchnię tej metalowej budowy pokrywały nieudolnie nabazgrane, potworne i obmierzłe symbole, poczęte z zabobonu krwiożerczych mnichów. Wszystkie ściany były skalane wyzierającymi z nich groźnie postaciami szatanów w otoczeniu kościotrupów jako też innych zjaw, w rzeczywistości o wiele okropniejszych. Zauważyłem, że zarysy tych potworów występowały dość wyraźnie, natomiast barwy wyblakły i ściemniały, jak gdyby pod

wpływem powietrza przesyconego parą. Z kolei przyjrzałem się posadzce; była kamienna. Pośrodku ziała kolista studnia, której czeluści udało mi się uniknąć. Wbrew moim przypuszczeniom w całym więzieniu była ona jedyną.

Wszystko to widziałem niewyraźnie i z niemałym wysiłkiem, gdyż warunki, w jakich się znajdowałem, podczas snu wielkiej uległy zmianie. Leżałem obecnie na wznak, rozpięty na niskim, drewnianym tapczanie. Przytwierdzono mnie mocno do niego długim rzemieniem, podobnym do popręgu. Opasywał on kilkakrotnie członki i ciało, pozostawiając swobodę ruchów jeno mej głowie i memu lewemu ramieniu, lecz tylko o tyle, iż z największym wyteżeniem mogłem sięgnąć po strawę do glinianej miski stojącej obok na posadzce. Zauważyłem ku mojemu przerażeniu, iż dzban zabrano. Powtarzam; ku mojemu przerażeniu, gdyż trawiło mnie niewysłowione pragnienie. Widocznie przesładowcy moi chcieli je spotęgować, gdyż w misce znajdowało się mięso, ogromnie przesolone.

Jąłem badać oczyma strop mego więzienia. Znajdował się on na wysokości trzydziestu lub czterdziestu stóp i był zbudowany podobnie jak ściany boczne. W jednej z jego kaset osobliwsza jakaś postać przykuła wszystką mą uwagę. Była to malowana postać Czasu, pojęta w ten sposób, jak ją się zazwyczaj wyobraża, z tą wszakże różnicą, iż zamiast

kosy trzymał on coś, co na pierwsze wejrzenie wydało mi się namalowanym, olbrzymim wahadłem, podobnym do tych, jakie się widuje przy starodawnych zegarach. Było atoli coś w wyglądzie tej maszyny, co zniewoliło mnie przyjrzeć się jej dokładnie. Patrząc na nią wprost w górę (gdyż znajdowała się bezpośrednio nade mną) miałem wrażenie, że się porusza. W chwilę później wrażenie to stało się pewnością. Wahania jej były krótkie i powolne. Przyglądałem się jej czas jakiś z niejakim lękiem, lecz z jeszcze większym zdziwieniem. W końcu znużony jej opieszalym ruchem, zwróciłem oczy ku innym przedmiotom, znajdującym się w mej celi.

Lekki szmer obudził mą czujność. Spojrzałem na posadzkę i dostrzegłem kilku olbrzymich szczurów. Wypęzły ze studni, która znajdowała się na prawo. Na poczekaniu zbiegły się tłumnie, przywabione zapachem mięsa. Świecąc żarłocznymi oczyma. Zużyłem niemało bacności i siły, by się od nich opędzić.

Upłynęło pół godziny, a może nawet więcej (gdyż nie podobna mi było określić dokładniej czasu), zanim znów w górę podniosłem oczy. Ujrzałem tam zjawisko, które mnie przejęło zdumieniem i przerażeniem. Odchylenie wahadła wzmogło się w wymiarach niemal o j a r d a. Rzecz prosta, iż szybkość jego zwiększyła się również ogromnie.

Lecz najwięcej zaniepokoiło mnie przeświadczenie, że wahadło widocznie się obniża. Zauważyłem także, iż dolny jego koniec miał kształt półksiężyca, wykutego ze lśniącej stali, którego długość od jednego krańca do drugiego wynosiła mniej więcej stopę; zakończenia jako też brzeszczot dolny były widocznie wyostrzone na podobieństwo brzytwy. Był on osadzony na potężnym, brązowym trzpieniu i kołysał się, z s y k i e m przecinając powietrze.

Nie mogłem już dłużej wątpić, iż była to kaźń, zgotowana mi przez pomysłowych w swym okrucieństwie mnichów. Siepacze Inkwizycji dowiedzieli się, iż nie uszło mej bacności istnienie studni — tej s t u d n i, przeznaczonej dla takich zuchwałych jak ja odszczepieńców, stanowiącej wyobrażenie piekła i uważanej powszechnie za Ultima Thule wszelkiej katuszy. Nie wpadłem do studni jedynie dzięki łaskawości przypadku, atoli wiedziałem, iż niespodzianki i podstępny w stosowaniu tortur stanowiły niepoślednią część potworności, wchodzących w skład śmiertelnych mąk więziennych. Czełusć zawiodła oczekiwania tych demonów, więc nie było celu strącać mnie do niej przemocą i nie pozostawało nic innego, jak wybrać mi zgubę odmienną i łagodniejszą. Łagodniejszą! Byłem bliski zgonu, a jednak uśmiechałem się niemal na myśl o takim słowa tego zastosowaniu.

Po cóż wspominać o długich, nieludzko długich godzinach trwogi, spędzonych na liczeniu drgnień rozważanej stali? Ruchem, dającym się oznaczyć jedynie z odstępów, które były dla mnie wiekami, obsuwała się ona cal po calu — linia po linii — niżej i coraz niżej! Dnie całe minęły — może nawet wiele dni — zanim ostrze tak nisko zawisło nade mną, iż jęło mnie muskać swym przenikliwym tchnieniem. Zapach stali przeniknął do mych nozdrzy. Modliłem się, naprzykrzałem się niebu moimi modlitwami, by spadek jej przyspieszyć. Zapamiętawszy się w szale przeżyłem się wzwyż na spotkaniu rozkołysanego, straszliwego sierpa. To znów przycichałem nagle i leżałem uśmiechając się do tej skrzącej zaturaty, podobnie jak dziecię uśmiecha się na widok jakiegoś niezwykłego cacka.

Następnie przyszła kolei na ponowny okres zupełnego bezczucia; był on niedługi, gdyż odzyskawszy przytomność nie zauważyłem znaczniejszego obniżenia się wahadła. Zresztą, kto wie, czy nie trwał dłużej — wiedziałem bowiem, iż czuwały demony, które spostrzegłszy me omdlenie, mogły dowolnie zatrzymać ruch. Przyszedłszy do siebie uczułem się niewymownie wyczerpanym i osłabionym jak gdyby po przewlekłym niedomaganiu. Atoli nawet wśród mąk organizm mój łaknął pożywienia. Z niemalym trudem wyciągnąłem lewe ramię tak daleko, jak na to więzy pozwalały i zabra-

łem niewielką resztkę, pozostawioną mi przez szczury. Gdym kęs podnosił do ust, drgnęła mi w mózgu niepełna myśl radości — nadziei. Lecz czy istniała łączność między mną a nadzieją? Jak powiedziałem, była to myśl niepełna; ludzie miewają wiele myśli, które nie osiągają pełni. Uczulem w jej drgnieniu nadzieję i radość, lecz czułem także, iż zanikła w zawiązku. Na próżno siliłem się, by ją otworzyć — dopełnić. Długie katusze unicestwiły niemal przyrodzone władze mego ducha. Stępiałem — stałem się idiotą.

Ruch wahadła odbywał się pod kątem prostym do mej długości. Widziałem, iż ów półksiężyc miał mnie ugodzić w okolicę serca. Werźnie się w tkanekę mojego odzienia, po czym powróci i werźnie się znowu — raz po raz! Pomimo ogromnych rozmiarów opisywanego łuku (wynosił on jakichś trzydzieści stóp lub więcej) i pomimo syczącego rozmachu, z jakim odbywał się jego spadek, mocen roztrzaskać nawet te lite, żelazne ściany, na razie nie dokáže niczego więcej prócz rozszarpania mego odzienia. Na tej myśli utknąłem. Nie śmiałem zapuszczać się dalej poza tę refleksję. Trwałem przy niej z zawziętym uporem, jak gdybym tą zaciętością mógł powstrzymać kołyszące się wysoko ostrze brzeszczotu. Siliłem się, by odgadnąć szmer sierpa, przecinającego mą włosienicę — by zdać sobie sprawę z owego, dziwnie przenikliwego uczucia, jakim na-

ruszenie sukien odbywa się w nerwach. Zaciekałem się w tych drobnostkach do tego stopnia, iż jałem w końcu szczekać zębami.

Obsuwał się niżej — coraz niżej. Z obłądną rozkoszą porównywałem chyżość jego spadku z chyżością odchyień. W prawo — w lewo — szach, szach, z potępieńczym zgrzytem! i znów czyha na me serce spokojnie jak tygrys! Śmiałem się i wyłem na przemian, w miarę jak jedna lub druga myśl brała nade mną przewagę.

Niżej — niezmiennie, niezawodnie coraz niżej! Śmigał o trzy cale od mojej piersi! Wyteżałem się zapamiętałe, wściekle, by oswobodzić lewe ramię. Było wolne tylko od łokcia pod dłoń. Z ogromnym trudem mogłem nim sięgać do misy, stojącej obok, do ust, ale nie dalej. Gdybym był mógł zerwać więzy powyżej łokcia, byłbym uchwycił wahadło i starałbym się je zatrzymać; oczywiście, z nie większym skutkiem, niż gdybym chciał unieruchomić lawinę!

Wciąż coraz niżej — nieodparcie, nieustannie coraz niżej! Dyszałem i podrywałem się za każdym drgnięciem. Wilem się kurczowo po każdym wahnięciu. Oczy moje biegły za każdym odchyleniem z zapamiętałością obłądnej rozpaczki i zamykały się spazmatycznie, gdy wahadło wracało, aczkolwiek śmierć mogła mi dać ukojenie — oh, jakież niewysłowione ukojenie! Mimo to wszystkie me nerwy przeżyły się na myśl, iż jeden lekki ruch me-

chanizmu może zanurzyć ten ostry, rozmigotany brzeszczot w mej piersi. To n a d z i e j a napiła me nerwy i wstrząsała mym ciałem, ta sama nadzieja, co triumfuje przy łożu tortury i nie opuszcza skazańców, nawet w więzieniach Inkwizycji.

Wymiarkowałem, iż ostrze stali po jakichś dieściu lub dwunastu nawrotach zetknie się bezpośrednio z moją odzieżą, i wraz z tym spostrzeżeniem zawzięty, skupiony spokój rozpaczylowładną nagle mą duszą. Od wielu godzin, a może nawet od wielu dni po raz pierwszy m y ś l a ł e m. I oto przyszło mi do głowy, że pas czy taśma, którą mnie skrępowano, była z j e d n e j s z t u k i. Nie miałem na sobie oddzielnych więzów. Pierwsze muśnięcie ostrego na kształt brzytwy półksiężyca przetnie poprzecznie rzemień w jakimś miejscu i z pomocą mej lewej ręki będę mógł odwinąć go z ciała. Lecz jak okropna będzie wówczas bliskość tej stali! Jak straszne w następstwach najłżejsze nawet drgnienie! A zresztą czyż to podobna, by moi lubi prześladowcy nie przewidzieli i nie zapobiegli tej możliwości? Czyż można przypuszczać, by oploty rzemienia krzyżowały pierś moją na linii wahadła? Drżąc, by ta nikła i — jak się zdawało — ostatnia nadzieja nie spełzła na niczym, podźwignąłem głowę o tyle, iż mogłem dokładnie obejrzeć piersi. Pas spowijał szczelnie me członki i ciało we wszystkich

kierunkach, ale w zasięgu złowrogiego ostrza go nie było.

Zaledwie zdążyłem opuścić głowę na dawne miejsce, a już w mym duchu zaświtało coś, co najwłaściwiej dałoby się określić jako niedokształcona półowka owej myśli o wyzwoleniu, o której już poprzednio napomknąłem, a która połowicznie tylko i niejasno przewinęła mi się w mózgu, kiedyś podnosił pokarm do mych spieczonych warg. Zawitała tedy myśl cała — nikła, mdła jeszcze, zaledwie określona, ale zupełna. Z porywczą rzutkością rozpaczę przystąpiłem od razu do jej wykonania.

Od wielu już godzin bezpośrednio poblizę niskiego tapczana, na którym leżałem, roilo się po prostu od szczurów. Były one dzikie, żarłoczne i zuchwałe; zwracały na mnie swe szklące, czerwone oczy, jak gdyby oczekiwały, kiedy znieruchomieją i stanę się ich łupem. „Do jakiejże strawy — myślałem sobie — nawykły one w tej studni?“

Daremne były moje wysiłki, by je odpędzić; pożarły całą zawartość miski z wyjątkiem niewielkiej odrobiny. Nawykowo nie ustawałem w młynkowaniu, czyli wymachiwaniu ręką dokoła półmiska, atoli ta bezwiedna jednostajność ruchu postradała w końcu swe znaczenie. Plugastwo było tak żarłoczne, iż niejednokrotnie wpijało się swymi ostrymi kłami w me palce. Pozostałymi ochłapami tłustego i pieprznego mięsiwa natarłem tedy mocno

me więzy wszędzie, gdzie mogłem dosięgnąć; po czym uniósłszy rękę z posadzki przestałem się ruszać i zaparłem oddech.

Zmiana ta — to moje znieruchomienie zrazu zatrwożyło i przeraziło żarłoczne zwierzęta. Zaniepokojone pierzchły; niektóre skryły się do studni. Trwało to wszakże niedługo. Nie przeliczyłem się na ich żarłoczności. Widząc, iż leżą nieruchomo, dwa czy trzy najśmielsze wskoczyły na tapczan i jęły obwąchiwać rzemienie. Było to znakiem do gromadnego najścia. Ze studni wypadały coraz to nowe stada. Obległy tłumnie tapczan, wdarły się na niego i setkami okryły me ciało. Nie płoszył ich bynajmniej miarowy ruch wahadła. Unikając jego ciosów zabrały się do ociekających tłuszczem rzemieni. Przybywało ich coraz więcej, roily się na mnie i tłoczyły. Pełzały mi po szyi; chłodne ich pyszczki lechtały me usta; dusiłem się niemal pod ich przygniatającym natłokiem; odraza, dla której nie ma nazwania, wezbrała w mej piersi i ciężkim swym osadem zmroziła mi serce. Ale czułem, iż jeszcze chwila, a będzie po wszystkim. Z całą pewnością doznawałem wrażenia, iż więzy poczynają się rozluźniać. Niezawodnie puściły już w niejednym miejscu. Z nadludzką stanowczością leżałem n i e r u c h o m o.

Nie pomyliłem się w mych przewidywaniach i nie cierpiałem na próżno. W końcu uczułem, iż jestem

w o l n y. Rzemień opadł ze mnie strzępami. Atoli ostrze wahadła już ocierało się o moje piersi. Werżnęło się w włosienicę. Przecięło pod spodem bieleznię. Jeszcze dwa wahnienia—i przenikliwy wstrząs bólu targnął wszystkimi moimi nerwami. Lecz chwila ocalenia nadeszła. Na skinienie mej ręki zbawcy moi pierzchli w nieładzie. Wolno, przezornie, chyłkiem i bokiem wypełzłem z opłotów rzemienia poza zasięg sierpa. Na razie byłem wreszcie w o l n y.

Wolny — a w szponach Inkwizycji! Zaledwie zdążyłem zejść z mojego drewnianego łoża tortur na kamienną posadzkę więzienia, gdy ruchy piekielnej maszyny ustały i jakaś niewidzialna siła pociągnęła ją w górę, poprzez otwór w sklepieniu. Była to nauuczka, od której serce zawrzało mi rozpaczą. Nie ulegało wątpliwości, iż każdy mój ruch nadzorowano. Wolny! — uszedłem jednego rodzaju męczeńskiej śmierci tylko po to, by paść ofiarą czegoś jeszcze gorszego, jakiejś innej zguby. Myśląc o tym wodziłem nerwowo oczyma po żelaznych zaporach, co mnie otaczały. Rzecz dziwna! W celi zaszła widocznie jakaś zmiana, z której na razie nie umiałem zdać sobie należycie sprawy. Owładnęło mną drżące, senne roztargnienie i przez czas jakiś zaciekałem się w jałowych, bezradnych przypuszczeniach. Dostrzegłem wówczas po raz pierwszy źródło owego siarczanego światła, rozwidniającego celę. Wynika-

ło ono ze szczeliny, szerokiej na pół cala, obiegającej wokół całe więzienie tuż, przy samej ziemi, tak iż jego ściany zdawały się nie dotykać i w rzeczywistości nie dotykały wcale swej podstawy. Na próżno usiłowałem wyrzeć przez ten otwór.

Kiedym zniechęcony powstawał z ziemi, w umyśle moim rozjaśniła się nagle tajemnica zmian, które zaszły w celi. Zauważyłem dawniej, iż wprawdzie zarysy figur, widniejących na ścianach, dość były wyraźne, lecz barwy ich jak gdyby ściemniały i przygasały. Otóż te barwy jęły teraz nasycać się i skrzyć się tak przeraźliwie, iż widmowe i szatańskie bohomy przybrały wygląd, mogący wstrząsnąć nawet silniejszymi od moich nerwami. Zewsząd, ze wszystkich miejsc, gdzie ich przedtem nie było, wyzierały ku mnie dzikie, upiorne rozgorzałe ślepia demonów jarząc się posepnym blaskiem ognia, co do którego na próżno siłem się przekonać mą wyobraźnię, iż jest nierzeczywisty.

N i e r z e c z y w i s t y ! — Kiedym wszakże odetchnął, uczułem w nozdrzach zapach rozgrzanego żelaza! Duszącymi wyziewy zappełniło się więzienie! Coraz głębszym żarem nasiąkały oczy spoglądające na moje męczarnie! Coraz szczodrzejsza purpura rozlewała się po ubroczonych we krwi, potwornych malowidłach! Jałem dyszeć. Zabrakło mi tchu. Nie ulegało już wątpliwości, co mieli na celu moi prześladowcy — oh, jakże szatańscy i nieubła-

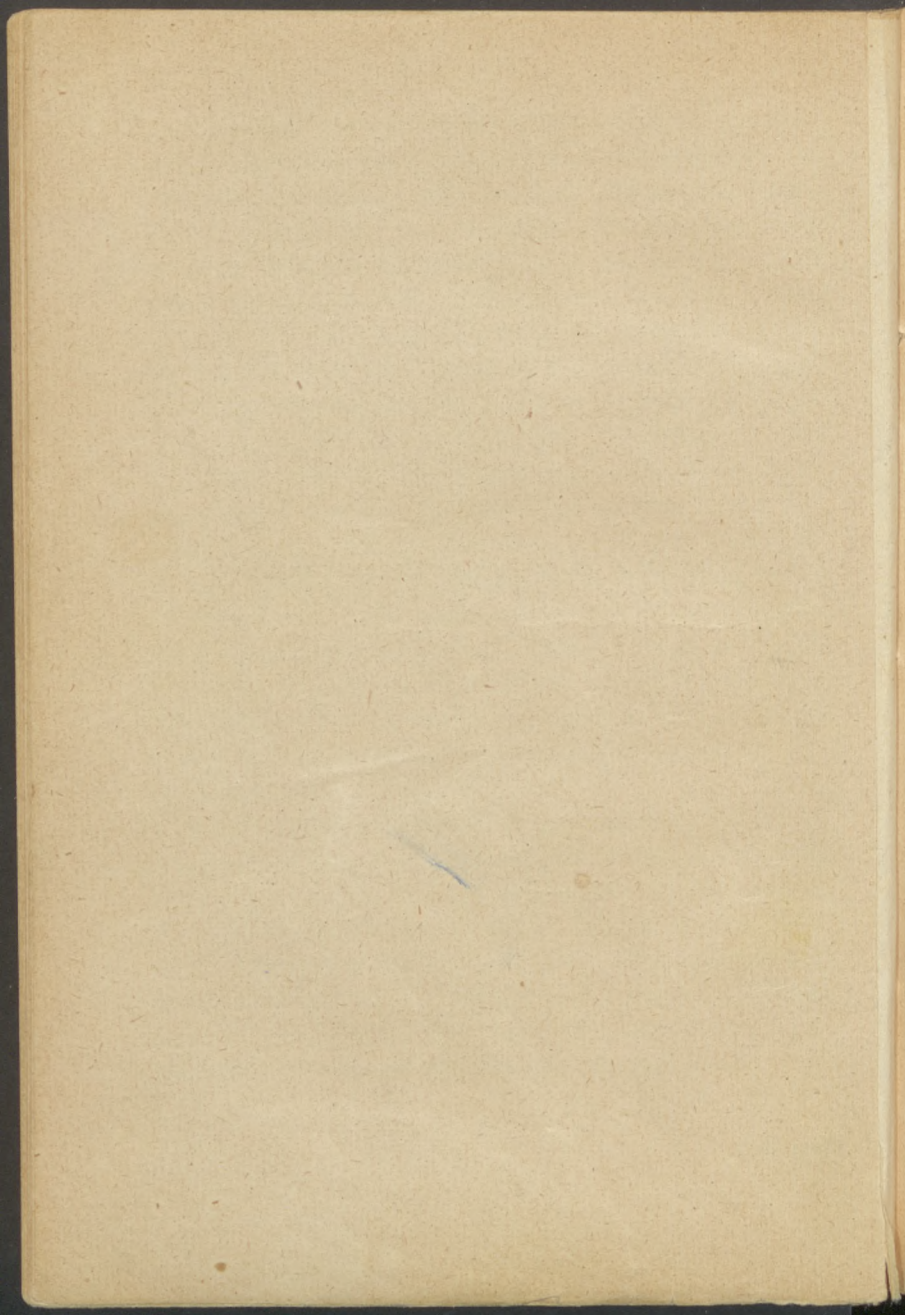
gani! Potoczyłem się od rozżarzonego metalu ku środkowi celi. Śród grozy ogniowej śmierci myśl o chłodzie wiejącym ze studni była dla duszy mej balsamem. Podbiegłem ku jej śmiertelnym stokom. Zapuściłem w głąb badawcze oczy. Łuna bijąca od żarzącego się stropu rozwidniała najwnętrzniesze jej tajnie. Ale w pierwszym, obłąkanym mgnieniu duch mój wzdragał się pojąc, co tam ujrzałem. W końcu jednakże przemogło — utorowało sobie drogę do mej duszy — zagrzeźło ognistym piętnem w moim struchlałym mózgu. O, dajcie mówić! — o, zgrozo! — oh, raczej wszystko, byle nie to! Z krzykiem targnąłem się wstecz od wrębu i ukrywszy twarz w dłoniach zaniósłem się gorzkim łkaniem.

Skwar wzmagał się szybko, a kiedy znów podniosłem oczy, zadygotałem, jak gdybym był w gorączce. Dokonała się nowa zmiana w celi — przejawiała się tym razem w k s z t a ł c i e. Podobnie jak przedtem, na próżno starałem się w pierwszej chwili pojąć i zrozumieć, co zaszło. Niedługo wszakże trwała ta moja niepewność. Dwukrotne me ocalenie przyspieszyło zemstę Inkwizycji i nie podobna już było igrać z Widmem Grozy. Więzienie moje miało kształt czworoboku. Otóż zauważyłem, iż dwa jego żelazne kąty stały się nagle ostrymi, dwa zaś inne rozwartymi. Straszliwe to przeobrażenie odbywało się szybko z głuchym chrzęstem i przeraźliwym zgrzytem. W oka mgnieniu cela przybrała kształt rombu. Lecz nie było to jeszcze koniec

zmian — ani go nie oczekiwałem, anim go nie pragnął. Chciałem otulić pierś moją w rozpalone do czerwoności ściany niby w szatę wiekuistego spokoju. „Śmierci!“ — wołałem — jakiegokolwiek śmierci, byle nie w studni!“ Co za szaleństwo! Czyż podobna było wątpić, iż rozpalone żelaziwo miało przemocą strącić mnie do niej? Czy mogłem oprzeć się żarowi, a gdyby nawet to się powiodło, to czyż nie uległbym naporowi? Romb spłaszczał się coraz chyżej i chyżej nie pozostawiając mi czasu na rozmyślanie. Jego środek znajdujący się na przekątnej największego wymiaru przypadał na sam otwór ziejącej czeluści. Targnąłem się wstecz, lecz zwierające się ściany parły mnie niewstrzymanie naprzód. W końcu dla mego poparzonego i wijącego się ciała nie pozostało ani piędzi posadzki pod stopami. Zaprzestałem oporu, lecz tortura wydarła z mej duszy przeciągły, donośny, ostateczny krzyk rozpaczny. Uczułem, że chwieję się na cembrowinie — odwróciłem oczy...

Wtem nagle niesforny zgiełk głosów ludzkich! I gromki odzew nieprzeliczonych surm! I wściekły poryk jak gdyby tysiąca grzmotów! Płomieniste ściany rozstały się w krąg! Czyjaś wyciągnięta ręka uchwyciła mnie za ramię, gdym bezwładny staczał się w otchłań. Była to ręka generała Lásalle'a. Wojska francuskie wkroczyły do Toleda. Inkwizycja wpadła w ręce swych nieprzyjaciół.

SKRADZIONY LIST



Było to w Paryżu, jesienią 18 . . r. Pewnego burzliwego wieczora, wnet po nastaniu ciemności, zażywałem podwójnej rozkoszy zadumy i fajki piankowej siedząc w towarzystwie mojego przyjaciela C. A. Dupina w jego niewielkiej biblioteczce lub raczej zapelnianej książkami pracowni, rue Dunois, nr 33, au troisième, faubourg Saint Germain. Już od jakiejś godziny zachowywaliśmy głębokie milczenie. Komuś, kto by nas wówczas przypadkowo podpatrzył, mogło się wydawać, że jesteśmy wyłącznie i skrzętnie zajęci kłębiącymi się odmętami dymu, który przesycił atmosferę pokoju. O ile jednak chodziło o mnie, to roztrząsałem w duszy pewne zagadnienia, o których rozmawialiśmy poprzednio owego wieczora, gdy drzwi się otwarły i wszedł do pokoju dawny nasz znajomy M. G., prefekt policji paryskiej.

Powitaliśmy go serdecznie; miał bowiem w swej naturze ten człowiek tyleż właściwości ujmujących, co niegodnych i nie widzieliśmy go już od kilku lat. Siedzieliśmy po ciemku, więc Dupin podniósł się z miejsca, by zapalić lampę, lecz usiadł znowu, gdy G. odezwał się, iż przyszedł poradzić się nas, a ra-

czej zasięgnąć zdania mojego przyjaciela w pewnej sprawie urzędowej, która sprawia mu mnóstwo kłopotów.

— Jeżeli jest to coś, co wymaga skupienia — powiedział Dupin powstrzymując się od zapalenia światła — to będzie lepiej zastanowić się po ciemku.

— Jak widzę, uroił pan sobie jeszcze jedną dziwaczną mrzonkę — rzekł prefekt, dla którego wszystko, co nie mieściło się w jego pojęciu, było „dziwaczne“, więc płatał się przez całe swe życie wśród nieprzebranego mnóstwa „dziwaczności“.

— Istotnie — odparł Dupin częstując swego gościa fajką i podsuwając mu wygodny fotel.

— A jakież to ma pan kłopot? — zapytałem. — Spodziewam się, iż nie chodzi o nowe zabójstwo?

— Oh, nie nic podobnego! Sprawa jest w rzeczywistości n a d e r prosta i nie wątpię, że poradzilibyśmy z nią sobie sami; ale przyszło mi na myśl, że Dupina zaciekawiby jej szczegóły, ponieważ jest ogromnie d z i w a c z n a.

— Prosta i dziwaczna — odezwał się Dupin.

— Ależ tak; chociaż mówiąc ściślej nie w jednakiej mierze. To pewna, iż jesteśmy mocno zakłopotani, ponieważ ta sprawa, aczkolwiek taka prosta, zupełnie zbiją nas z tropu.

— A może nadzwyczajna jej prostota wprowadza was w błąd? — zagadnął mój przyjaciel.

— Co pan za głupstwa gada! — odparł prefekt śmiejąc się serdecznie.

— Może tajemnica jest nieco z a przejrzy-
sta? — rzekł Dupin.

— Na miłość boską! Czy ktoś słyszał kiedy coś podobnego?

— Może za bardzo leży jak na dłoni?

— Ha, ha, ha! — ha, ha, ha! — ho, ho, ho! —
rżał nasz gość niezmiernie ubawiony. — Oh, Dupin,
ja umrę kiedyś przez pana!

— O cóż jednakże w końcu chodzi? — zapyta-
łem.

— Owszem; powiem panom — odpowiedział pre-
fekt i puszczając w zadumie nieustanne i gęste kłę-
by dymu zasiadł w fotelu. — Opowiem wszystko
w kilku słowach; lecz zanim rozpocznę, uważam za
konieczne ostrzec panów, iż jest to sprawa wyma-
gająca najgłębszej tajemnicy i że straciłbym naj-
prawdopodobniej moje stanowisko, gdyby się do-
wiedziano, że mówiłem o niej komukolwiek.

— Proszę przystąpić do rzeczy — odezwał się.

— Albo nie — rzekł Dupin.

— Więc będę mówił! Zawiadomiono mnie i to
z bardzo wysokich sfer, iż z pokojów królewskich
skradziono nadzwyczaj ważny dokument. Wiadomo
kto skradł; nie ulega to wątpliwości; widziano, jak
go zabrał. Wiadomo również, iż dokument ten znaj-
duje się wciąż jeszcze w jego posiadaniu.

— Skądże to wiadomo? — zapytał Dupin.

— Wynika to niezawodnie z treści dokumentu oraz stąd, że nie było pewnych następstw, które musiałyby od razu się objawić, gdyby przestał znajdować się w posiadaniu złodzieja, to znaczy, gdyby został tak użyty, jak tenże w końcu użyć go zamierza.

— Proszę wyrazić się jaśniej — rzekłem.

— Dobrze; posunę się tak daleko, iż dodam, że ten papier użyłby osobie, która nim się wykaże, pewnej władzy w pewnym miejscu, gdzie ta władza jest niezmiernie cenna.

Prefekt był wielbicielem c a n t u dyplomatycznego.

— Niezupełnie jeszcze rozumiem — przemówił Dupin.

— Nie? A więc, o ile by dokument ten stał się dostępny komuś trzeciemu, którego nazwiska nie wymienię, to mógłby wyniknąć stąd uszczerbek czci dla osoby wysoce dostojnej; skutkiem tej okoliczności przywłaszczyciel tego dokumentu ma przewagę nad ową dostojną osobą, której spokój i cześć są wielce narażone.

— Wszelako ta przewaga — przerwałem — zależy od tego, czy złodziej wie, iż jako sprawca tej kradzieży jest znany osobie okradzonej. Któżby śmiał...

— Złodziejem — odparł prefekt — jest minister D., który odważa się na wszystko — na rzeczy godne i niegodne mężczyzny. Sposób kradzieży był nie mniej pomysłowy jak zuchwały. Dokument ów — powiedzmy otwarcie, list — otrzymała osoba okradziona, która znajdowała się sama w buduarze królewskim. Zajęta była właśnie czytaniem tego listu, gdy przeszkodziło jej nagle wejście innej dostojnej osoby, przed którą przede wszystkim pragnęła go ukryć. Na próżno starała się pospieszenie wrzucić go do szuflady i musiała w końcu położyć go na stole tak, jak był otwarty. Wszelako odwróciła go adresem do góry, treść zatem nie była widoczna i nie zwróciła uwagi. Kiedy to się działo, wszedł minister D. Jego rysie oczy natychmiast dostrzegły ten papier; poznał pismo na adresie, zauważył zmieszanie osoby, do której list był pisany i przeniknął jej tajemnicę. Załatwiwszy na łeb na szyję, jak to zwykł czynić, kilka spraw, wyjął jakiś list, nieco podobny do leżącego na stole, otworzył go, udał, że czyta i położył tuż obok poprzedniego. Po czym znów rozmawiał przez jakieś piętnaście minut o sprawach publicznych. W końcu pożegnał się i wziął ze stołu list, który do niego nie należał. Widziała to osoba poszkodowana, ale nie śmiała powiedzieć o tym, co się stało, w obecności osoby trzeciej, stojącej u jej boku. Minister wyszedł pozo-

stawiając na stole swój list pisany w jakiejś błahej sprawie.

— Masz zatem — rzekł Dupin do mnie — właśnie to, o co ci chodziło, by przewaga była zupełna, mianowicie złodziej wie, iż jako sprawca tej kradzieży jest znany osobie okradziorej.

— Tak jest — potwierdził prefekt — zaś władzę w ten sposób zdobytą wyzyskuje od kilku miesięcy dla swych celów politycznych w rozmiarach wprost niebezpiecznych. Osoba poszkodowana z dnia na dzień utwierdza się w przekonaniu, iż trzeba będzie odzyskać swój list. O czy nie można zrobić tego jawnie. W końcu doprowadzona do rozpacz zwróciła się w tej sprawie do mnie.

— Bo czyż można było — rzekł Dupin nurzając się w istnym obłoku dymu — wyszukać lub bodaj wyobrazić sobie urzędnika równie roztropnego?

— Pochlebia mi pan — odpowiedział prefekt — wszelako jest rzeczą możliwą, iż istotnie utarła się o mnie taka opinia.

— To pewna — powiedziałem — iż spostrzeżenie pańskie jest słuszne i że list ten znajduje się jeszcze w posiadaniu ministra, bowiem posiadanie tego listu, nie zaś jego użycie, zapewnia władzę. Gdyby go zużytkował, władza by pierzchła.

— Istotnie — odparł G. — i w tym przeświadczeniu przystąpiłem do rzeczy. Zająłem się przede wszystkim przeszukaniem pałacu ministra, zaś

kłopot sprawiała mi głównie konieczność szukania bez jego wiedzy. Poza tym musiałem mieć się na baczności przed niebezpieczeństwem, jakie by wynikło, gdyby dostarczyło mu się powodu do podejrzenia naszych zamiarów.

— Ale — napomknąłem — w tej dziedzinie jest pan, jak u siebie w domu! Policja paryska niejednokrotnie już czyniła takie poszukiwania.

— Jużćić, i dlatego nie zwątpiłem. Przy tym nawyknienia ministra ułatwiają mi wielce zadanie. Często nie bywa w domu całymi nocami. Służbę ma niezbyt liczną. Sypia ona dość daleko od pokoiów swego pana i składa się głównie z Neapolitańczyków, których łatwo spoić. Wiecie panowie zapewne, iż mam klucze, którymi można otworzyć wszystkie pokoje i skrytki w całym Paryżu. Od trzech tygodni nie było ani jednej nocy, żebym osobiście nie szperał w pałacu D. Narażony jest mój honor, a przy tym — wyznam panom w wielkiej tajemnicy — nagroda jest olbrzymia. Toteż nie ustawałem w poszukiwaniach, aż przekonałem się niezawodnie, iż złodziej jest przebieglejszy ode mnie. Mniemam, iż przetrząsnąłem w całym domu wszystkie kąty i zakamarki, w których można ukryć papier.

— Czy wszakże nie byłoby rzeczą możliwą — zauważyłem — żeby ten list, acz znajdujący się niewątpliwie w posiadaniu ministra, nie był jednakże

schowany gdzie indziej niż w jego własnym mieszkaniu?

— Nie, to niemożliwe! — odezwał się Dupin. — Szczególniejszy obecnie stan spraw dworskich, przede wszystkim zaś intryg, w które D. — jak wiadomo — jest wplątany, sprawia, iż natychmiastowe zużytkowanie tego dokumentu, możliwość okazania go każdej chwili jest niemal równie ważna jak samo posiadanie.

— Możliwość okazania go każdej chwili? — zagadnąłem.

— Aby można go zniszczyć, gdy zajdzie potrzeba — dopowiedział Dupin.

— To prawda — rzekłem — papier znajduje się zatem niewątpliwie w mieszkaniu. Bo żeby minister przechowywał go przy sobie, o tym chyba nie może być mowy.

— Istotnie — odezwał się prefekt — dwukrotnie był zatrzymywany, niby to przez rzezimieszków, przy czym przetrząśnięto dokładnie całą jego odzież pod mym osobistym nadzorem.

— Mógł pan sobie oszczędzić tego kłopotu — powiedział Dupin — D. jak sądzę, jeszcze nie całkiem ma bzika, przewidział zatem te napaści, jako rzecz nieuniknioną.

— Jeszcze nie całkiem ma bzika — powtórzył G. — ale jako poeta niedaleko jest od niego.

— Zapewne — odparł Dupin puszczając po długim namyśle kłąb dymu z fajki — aczkolwiek ja także mam na sumieniu jakieś tam wierszydła.

— Czy mógłby pan nam opowiedzieć szczegółowo o swych poszukiwaniach? — spytałem.

— Mogę zaręczyć, że nie marnowaliśmy czasu i szukaliśmy wszędzie. Nabrałem dużo doświadczenia w tych sprawach. Przetrzęsaliśmy budynek, pokój po pokoju poświęcając na każdy wszystkie noce całego tygodnia. Zbadaliśmy najpierw meble. Pootwieraliśmy wszystkie możliwe szuflady, a zapewne wiecie panowie, iż dla dobrze wyćwiczonego agenta policyjnego s k r y t k i nie istnieją. Byłby kpem, gdyby przy podobnych szperaniach jaka „skrytka“ uszła jego uwagi. To rzecz taka prosta! W każdym pokoju ma się do obliczenia pewną ilość brył — przestrzeni. Są na to dokładne prawidła. Nie można się omylić ani o włos. Po pokojach przyszła kolei na krzesła. Poduszki przeszukaliśmy za pomocą cienkich, długich igieł. Pokazywałem już panom, jak to się robi. Ze stołów zdejmowaliśmy wierzchy.

— Po co?

— Zdarza się, iż ludzie chcący coś ukryć zdejmują wierzch stołu lub podobnie sporządzonego mebla, po czym wydrażają nogę, chowają ów przedmiot w wydrażeniu i przytwierdzają wierzch z po-

wrotem. W podobny sposób przeszukuje się również od góry i dołu nogi u łóżek.

— A czy nie można znaleźć takiego wydrążenia za pomocą opukiwania? — zapytałem.

— Bynajmniej, jeżeli ktoś wkładając przedmiot owinie go grubo watą. Przy tym musieliśmy unikać wszelkiego hałasu.

— Przecież nie mogliście rozbierać — nie mogliście rozkładać na kawałki wszystkich mebli, które nadawałyby się do urządzenia schowku w sposób przez pana wspomniany! List można zwinąć w cienką rurkę spiralną, nie różniącą się kształtem ni rozmiarem od wielkiej igły do dzierzgania i umieścić, na przykład, w poręczy krzesła. Czyście rozbierali wszystkie krzesła?

— Jużcić, że nie, lecz poradziliśmy sobie inaczej — zbadaliśmy poręcze wszystkich krzeseł w pałacu oraz spojenia wszystkich mebli za pomocą silnych szkieł powiększających. Wszelkie ślady jakichkolwiek zmian bylibyśmy dostrzegli niezawodnie. Jedna drobna trocinka, pozostała po użyciu świderka, byłaby przybrała rozmiary jabłka. Dość było najmniejszej niedokładności w sklejeniu — jakiegokolwiek nieszczelności w spojeniu, a bylibyśmy zaraz odnaleźli skrytkę.

— Przypuszczam, iż obejrzelście lustra, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie zachodzą za ramy, że

przeszukaliście łożka, kapy jako też portiery i dywany.

— Oczywiście, kiedy zaś przejrzelśmy najdokładniej całe urządzenie mieszkania, przystąpiliśmy do zbadania samego domu. Podzieliliśmy całą powierzchnię na odcinki i oznaczyliśmy je liczbami, aby żadnego nie pominąć, po czym badaliśmy kolejno za pomocą szkieł powiększających każdy cal kwadratowy pałacu oraz obu domów przyległych.

— Obu domów przyległych? — zawołałem. — Ależ to było połączone z ogromnym trudem!

— Zapewne, lecz nagroda, którą mi obiecano, jest także ogromna.

— A nie pominęliście ziemi dokoła domów?

— Wszystkie ich podwórza są wybrukowane ceglami. Nie mieliśmy z nimi zbyt wiele kłopotu. Zbadaliśmy mech między ceglami i przekonaliśmy się, że był nietknięty.

— Przejrzelście oczywiście papiery ministra i książki w bibliotece?

— Tak jest; przeglądaliśmy wszystkie zwitki i pliki; otwieraliśmy wszystkie książki i odwracaliśmy kartkę po kartce w każdym tomie, nie zadowalając się bynajmniej samym tylko potrząśaniem, jak to czynią niektórzy oficerowie naszej policji. Mierzyliśmy również najdokładniej grubość każdej okładki i poddawaliśmy je nieubłagancemu badaniu

szkieł powiększających. Gdyby w którejkolwiek okładce umieszczono jakiś przedmiot, to nie byłby on na pewno uszedł naszej uwagi. Pięć czy sześć tomów, które co tylko wyszły z pracowni introligatorskiej, przeszukaliśmy na wzdłuż iglicami.

— Czy badaliście posadzki pod kobiercami?

— Niewątpliwie, zdejmowaliśmy wszystkie dywany i oglądaliśmy deski przez szkła powiększające.

— A tapety na ścianach?

— Tak jest.

— Zajrzeliście do piwnic?

— Oczywiście.

— Zatem — rzekłem — jest pan na błędnym tropie; tego listu nie ma w pałacu, jak panu się zdaje.

— Obawiam się, że pan ma słuszną rację — odparł prefekt. — Cóż teraz robić, panie Dupin?

— Przeszukać jeszcze raz cały pałac.

— Ależ to jest najzupełniej bezcelowe! — zawołał. — Ręczę własną głową, że tego listu nie ma w pałacu.

— Nie mogę dać panu lepszej rady — rzekł Dupin. — Zapewne pan ma dokładny opis tego listu?

— O tak! — I wyjąwszy notatnik z kieszeni prefekt jął czytać głośno szczegółowy opis wewnętrznego, a przede wszystkim zewnętrznego wyglądu zaginionego dokumentu. Przeczytawszy ten opis pożegnał się wkrótce i odszedł z takim wyrazem

przygnębienia, jakiego przed tem nie zdarzało mi się u niego widzieć.

W jakiś miesiąc później odwiedził nas powtórnie i zastał mniej więcej przy tych samych zajęciach. Przyjął podaną fajkę i usiadłszy na fotelu jął gawędzić o rzeczach potocznych. W końcu zagadnąłem.

— No, a cóż słyhać o skradzionym liście? Sądzę, iż w końcu pogodził się pan z myślą, że to niełatwa rzecz podołać ministrowi.

— Bodaj go lichą wzięło! Wszelako zrobiłem, co radził Dupin i przetrząsałem wszystko raz jeszcze — ale cała praca poszła na marne, jak to zresztą przewidywałem z góry.

— Ile to wynosi naznaczona nagroda? Pan coś mówił... — rzekł Dupin.

— No... jest duża, b a r d z o hojna, ale nie mogę dokładnie powiedzieć... To tylko powiem, że go-tów byłbym dać czek na pięćdziesiąt tysięcy franków człowiekowi, który by mi postarał się o ten list. Z dnia na dzień nabiera on coraz większego znaczenia. Nagrodę w ostatnich czasach podwojono. Lecz gdyby ją nawet potrojono, nie mógłbym nic więcej zrobić, niż zrobiłem.

— Czemu by nie? — mówił Dupin przeciągle pykając swą piankową fajką. Naprawdę, mnie się zdaje, że pan się nie wyteżył, nie dotarł do dna tej

sprawy. Mógł pan zrobić nieco więcej. Tak mi się zdaje — nie?

— Co? w jaki sposób?

— Ależ — puf — puf — mógłby pan — puf — puf — zasięgnąć rady — he? — puf — puff — puuf. Pamięta pan anegdotkę o Abernethym? *).

— Nie, do diabła z Abernethym!

— Nic nie mam przeciw temu! Niechaj będzie do diabła, jeśli pan tak chce. Otóż zdarzyło się raz, że pewien bogaty skąpiec powziął zamiar wykpienia od tegoż Abernethyego porady lekarskiej. By cel ten osiągnąć, zawiązał z nim w przygodnym towarzystwie rozmowę, w której opowiedział mu o swych własnych niedomaganiach mówiąc niby to o jakimś zmyślonym chorym.

— Przypuśćmy — mówił skąpiec — że objawy są takie a takie. Cóżby pan przepisał, panie doktorze?

— Co? — odparł Abernethy. — Poradziłbym mu, oczywiście, aby się poradził.

— Ależ — odezwał się prefekt, nieco zmieszany — jestem najzupełniej gotów zasięgnąć porady i za nią zapłacić. Ofiarowałbym n a p r a w d ę pięćdziesiąt tysięcy franków osobie, która by mi dopomogła w tej sprawie.

*) Znakomity lekarz angielski, słynny ze swej ekscentryczności. (Przyp. tłum.).

— W takim razie — odparł Dupin otwierając szufladę i wyjmując z niej książeczkę czekową — niechże pan wypełni mi czek na tę sumę. Skoro pan go podpisze, wręczone panu list. —

Osiupiałem. Prefekt był po prostu spiorunowany. Na chwilę znieruchomiał i oniemiał. Rozchyliwszy usta spoglądał niedowierzająco na mojego przyjaciela, a oczy jego zdawały się występować ze swej obsady. Po czym odzyskawszy w niejakiem mierze panowanie nad sobą uchwycił pióro, zaważał się, spojrział kilka razy czczym wzrokiem, lecz w końcu wypełnił i podpisał czek na pięćdziesiąt tysięcy franków. Dokonawszy tej formalności podał go przez stół Dupinowi. Tenże przejrzał go uważnie i włożył do swego portefeuille'u. Następnie otworzył sekretarzyk, wyjął stamtąd list i wręczył go prefektowi. Urzędnik uchwycił go nieprzytomny z radości, rozłożył drżącymi rękami, powiódł oczyma po jego treści, rzucił się z rozmachem ku drzwiom i wybiegł bez ceremonii z pokoju nie rzekłszy ani słowa od chwili, kiedy Dupin zagadnął go o podpisanie czeku.

Po jego odejściu przyjaciel mój jał wyluszczać przebieg sprawy.

— Policja paryska — mówił — jest nadzwyczaj biegła w swym zawodzie. Urzędnicy jej są wytrwali, pomysłowi, chytry i doskonale obeznani z tymi gałęziami wiedzy, które należą do zakresu ich

obowiązków. Toteż, gdy G. opowiadał nam, w jaki sposób przetrząsano pałac D., byłem najzupełniej przeświadczony, że poszukiwania odbyły się należyście w tej mierze, na jaką było go stać.

— W tej mierze, na jaką było go stać? — zagadnąłem.

— Tak jest — odparł Dupin — poczynione zarządzenia były nie tylko najlepsze w swym rodzaju, lecz także doprowadzone do ostatecznej doskonałości. Gdyby list ów znajdował się w zasięgu ich poszukiwań, to byliby go niewątpliwie znaleźli.

Uśmiechnąłem się tylko, aczkolwiek zdawał się mówić to najzupełniej poważnie.

— Zarządzenia zatem — mówił dalej — były dobre w swym rodzaju i dobrze wykonane; wadliwość ich polegała na tym, iż nie dawały się zastosować ani do człowieka, ani do wypadku, o który chodziło. Pewien zestrój nadzwyczaj pomysłowych środków stanowi dla prefekta rodzaj łoża Prokrusta, w które wtlacza przemocą swe zamierzenia. Wszelako myli się nieustannie, gdyż jest albo za głęboki, albo za płytki dla sprawy, którą się zajmuje i wielu uczniów rozumuje lepiej od niego. Znałem pewnego ośmioletniego chłopca, którego powodzenia w odgadywaniu przy grze „para nie para“ wywoływały podziw powszechny. Gra ta jest łatwa; używa się do niej krągłych kamyczków. Jeden z graczy trzyma w garści pewną ilość tych

kamyczków i zapytuje drugiego, czy liczba ich jest parzysta lub nieparzysta. Jeżeli zgadujący odpowie trafnie, to zyskuje jeden kamyczek, jeżeli zaś się pomyli, to jeden traci. Chłopczyk, o którym nadmienilem, wygrał wszystkie kamyczki w całej szkole. Odgadywał on wedle pewnej zasady, która polegała tylko na spostrzegawczości i na przystosowaniu się do bystrości swych przeciwników. Kiedy, na przykład, przeciwnik jego był skończonym głuptasem i podniósłszy zaciśniętą rękę pytał: „para czy nie para“, dzieciak odpowiedział: „nie para“ i przegrywał. Wszelako za następnym razem już wygrywał, gdyż powiadał sobie w duszy: „głuptas, przy pierwszej kolejce wziął w rękę parzystą ilość kamyczków, ale jego przebiegłość sięga zaledwie tak daleko, iż za drugą kolejką weźmie nieparzystą, powiem zatem: „nie para“; mówi tak i wygrywa. Natomiast mając do czynienia z przeciwnikiem nie tak ograniczonym rozumował w ten sposób: „Ten chłopiec wie, iż za pierwszym razem powiedziałem „nie para“ kiedy więc kolej przyjdzie na drugi, zaświta mu w pierwszej chwili myśl najprostszej odmiany, mianowicie, by po parze wziąć nie parę, jak to uczynił pierwszy głuptas; wszelako później pomyśli sobie, że ta odmiana zbyt jest prosta i ostatecznie weźmie ilość parzystą, jak poprzednio. Będę zatem zgadywał: „para“. Powiada: „para“ i wygrywa. Otóż ten sposób rozumowa-

nia, który koledzy uczniaka nazywali „szczęściem“ — czym-że jest, gdy go wyłuskaliśmy do ostatka?

— Jest to po prostu — rzekłem — identyfikowanie się umysłu rozumującego ze swym przeciwnikiem.

— Istotnie — odparł Dupin — kiedy zaś zapytałem tego chłopca, w jaki sposób osiąga tę zupełną identyfikację, która stanowi o jego powodzeniu, odpowiedział: „Gdy chcę wiedzieć, w jakim stopniu jest ktoś mądry czy głupi, dobry lub zły, i co myśli w danej chwili, staram się możliwie najdokładniej uzgodnić wyraz mojej twarzy z wyrazem jego twarzy, a następnie śledzę, jakie myśli i uczucia rozbudzą się w mym mózgu i mym sercu i niejako uzgodnią się, i upodobnią do wyrazu przeze mnie przybranego“. Ta odpowiedź dziecka sięga dużo głębiej niż kłamane głębie, przypisywane La Rochefoucauldowi, La Bruyère'owi, Machiavellemu i Campanelli.

— Zaś ta identyfikacja umysłu, rozumującego ze swym przeciwnikiem zależy — o ile dobrze cię pojmuję — od ścisłości, z jaką ocenia się intelekt tegoż przeciwnika.

— Praktyczne jej znaczenie zależy jużciż od tego warunku — odpowiedział Dupin. — Prefekt i jego podwładni myślą się tak często dlatego iż: po pierwsze, nie są zdolni do owej identyfikacji, po

wtóre, że przystosowują się niewłaściwie lub raczej nie przystosowują się wcale do intelektu, z którym mają do czynienia. Mają na oku tylko swe własne, przebiegłe pomysły i kiedy szukają czegoś ukrytego, myślą tylko o tym, w jaki sposób oni by je ukryli. Mają słuszność o tyle, że ich pomysłowość jest wiernym obrazem pomysłowości tłumy; kiedy jednak chytrość występnej jednostki różni się swymi właściwościami od ich chytrości, złoczyńca bierze nad nimi górę. Zdarza się to zawsze, gdy przewyższa ich przebiegłością, i nader często, gdy im w niej nie dorównywa. Nie umieją zmieniać zasad, na których opierają swe dochodzenia śledcze; w najlepszym razie, kiedy przynagli ich jakaś ostateczna konieczność, jakaś niezwykła nagroda, przeholowują do przesady swe dawne sposoby praktyczne nie tykając przy tym swych zasad. Co, na przykład, uczyniono, kiedy chodziło o sprawę ministra D., by zastosować zmienione zasady działania? Czymże jest to wiercenie, przetrząsanie, sondowanie, badanie za pomocą szkieł powiększających, rozkładanie powierzchni budynku na ponumerowane cale kwadratowe — czymże jest to wszystko, jeśli nie przesadą w zastosowaniu jednej zasady czy też całej więzi zasad śledczych, opartych na jednym skojarzeniu pojęć o pomysłowości ludzkiej, do którego prefekt nawykł w długoletniej rutynie służbowej? Czyż nie

zauważył, iż dla niego jest rzeczą dowiedzioną, jakoby wszyscy ludzie, którzy chcą ukryć jakiś list, posługiwali się, jeśli niekoniecznie otworem, wywierconym w nodze od krzesła, to przynajmniej jakimś otworem czy kryjówką, nadzwyczaj osobliwą, a podsuniętą przez to samo skojarzenie myśli, które zniewala do chowania listów w otworach, wywierconych w nodze od krzesła? I czy nie zdajesz sobie sprawy, że takie wyszukane skrytki bywają używane w pospolitych okolicznościach i przez umysły pospolite, gdyż ilekroć chodzi o jakąś rzecz ukrytą, wszelki wyszukany sposób jej ukrycia od razu daje się odgadnąć i bywa też zawsze odgadwany; toteż znalezienie jej bynajmniej nie zależy od przenikliwości, lecz tylko od pilności, cierpliwości i stanowczości szukającego? Kiedy jednak chodzi o rzecz ważną lub o coś, co w oczach policji ma to samo znaczenie, mianowicie o szczerą nagrodę, wszystkie te zalety na pewno zawodzą. Sądzę, iż zrozumiesz teraz, co miałem na myśli powiadając, iż gdyby skradziony list był ukryty w zasięgu poszukiwań prefekta — czyli wyrażając się innymi słowami — gdyby zasada jego ukrycia mieściła się w zasadach prefekta, to odszukanie jego nie podlegałoby bynajmniej wątpliwości. Tymczasem urzędnik ten dał się najzupełniej zbić z tropu, a pierwotnej przyczyny jego porażki należy szukać w przeświadczeniu, że minister ma bzika, ponieważ dał się

poznać jako poeta. Wszystkie półgłówki są poetami wedle mniemania prefekta i cała jego pomyłka polega na *non distributio medii*, na wysnutym stąd wniosku, iż wszyscy poeci są półgłówkami.

— Jest-że on naprawdę poetą? — spytałem. — O ile wiem, ma brata, który również zasłynął na polu literackim. Minister podobno znany jest z cennej pracy o rachunku różniczkowym. Jest zatem matematykiem, a nie poetą.

— Mylisz się; znam go dobrze; jest jednym i drugim. Jako poeta i matematyk nawykł do ścisłego rozumowania. Gdyby był tylko matematykiem, nie rozumowałby wcale i byłby zdany na łaskę prefekta.

— Zdziwiasz mnie — rzekłem — tymi poglądami, które pozostają w sprzeczności z opinią powszechnie przyjętą. Sądzę, iż nie zamierzasz unieczystwiać przeświadczeń ustalonych przez wieki. Rozum matematyczny uchodzi od dawna za rozum *par excellence*.

— *I l y a à parier* — odparł Dupin cytując Chamforta — *que toute idée publique, toute convention reçue est une sottise, car elle a convenu au plus grand nombre**). Zgadzam się z tobą, że ma-

*) „Można założyć się, że każda myśl ogólnie przyjęta, każdy uznany pogląd jest głupstwem, ponieważ odpowiada większości“ (przyp. tłum.).

tematycy przyczynili się wielce do rozpowszechnienia utartego błędu, o którym mówisz, a który mimo to jest błędem uważanym za prawdę. Z artyzmem, godnym lepszej sprawy, przyzwyczaili nas, na przykład, do używania słowa analiza w zastosowaniu do algebry. Francuzi pierwsi dali początek temu pomieszaniu pojęć, a jednak jeżeli słownictwo ma jakiegokolwiek znaczenie, jeżeli słowa wyprowadzają swą wartość z zastosowania, to analiza odpowiada algebrze mniej więcej w tej samej mierze, co łacińskie słowo ambitus — ambicji, religio — religii lub homines honesti — zespolowi ludzi szanowanych.

— Coś mi się zdaje, że będziesz miał zatarg z niejednym algebraikiem paryskim — ale mów dalej.

— Podaję w wątpliwość znaczenie a wraz z nim wartość rozumu, kształconego w jakiś inny, wyłączny sposób niż abstrakcyjno-logiczny. W szczególności zaś podaję w wątpliwość rozum wykształcony na studiach matematycznych. Wiedza matematyczna jest nauką formy i wielości. Wielki błąd tkwi w mniemaniu, jakoby pewniki algebry, tak zwanej czystej, były pewnikami abstrakcyjnymi czy powszechnymi. Zaś błąd ten jest tak ogromny, iż słupieję nad jednomyślnością, z jaką go przyjęto. Pewniki matematyczne nie są pewnikami prawdy powszechnej. Co jest prawdą względności — formy i wielości — to bywa

często grubym błędem, na przykład, w dziedzinie nauk moralnych. W dziedzinie tej zazwyczaj jest nieprawdą, iż części składowe równają się całości. W chemii pewnik ten również zawodzi. Nie dopisuje także, gdy chodzi o czynniki ruchowe, jeżeli bowiem dwa czynniki ruchowe, których siły są znaczne, połączymy razem, to otrzymana w ten sposób siła wypadkowa niekoniecznie musi się równać sumie sił składowych. Jest jeszcze wiele innych prawd matematycznych, które są prawdziwe tylko w granicach względności. Atoli matematyk wnioskuje naukowo wedle swych prawd ograniczonych, jak gdyby miały one zastosowanie absolutne i nieograniczone — co zresztą powszechnie im się przyznaje. Briand w swej nader cenionej „Mitologii“, wspomina o podobnym źródle błędu mówiąc, iż „jakkolwiek nikt nie wierzy w baśnie pogańskie, to jednak zapomina się o tym nieustannie i wyprowadza się z nich wnioski, jak gdyby z istniejących rzeczywistości“. Jakoś algebraicy, którzy sami są poganami, wierzą w „baśnie pogańskie“ i wyprowadzają z nich wnioski, nie tyle dlatego, że im pamięć nie dopisuje, ile z powodu niepojętej zaśniedziałości mózgow. Słowem, nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać czystego matematyka, na którym można by polegać poza jego równaniami i pierwiastkami lub który by nie uznawał potajemnie za dogmat swej wiary, iż $x^2 + px$ równa się bez-

warunkowo i absolutnie q . Spróbuj powiedzieć któremuś z tych panów, jeżeli cię to bawi, iż zdaniem twym mogą zajść okoliczności, kiedy $x^2 + px$ niekoniecznie równać się będzie q , jednak powiedziawszy, co masz na myśli, usuń mu się co rychlej i najuprzejmiej spod ręki, gdyż na pewno będzie chciał cię grzmotnąć.

Chcę przez to powiedzieć — mówił dalej Dupin, któremu przerwałem na chwilę śmiejąc się z tych jego spostrzeżeń — iż gdyby minister był tylko matematykiem, to prefekt nie byłby musiał wręczyć mi tego czeku. Wiem jednakże, iż jest matematykiem i razem poetą, więc przystosowałem swe postępowanie do jego uzdolnienia uwzględniając przy tym okoliczności, w jakich się znajdował. Wiem również, iż jest dworakiem i zuchwałym intrygantem. Nie podobna, żeby taki człowiek — pomyślałem sobie — nie znał zwyczajnych, policyjnych metod działania. Zapewne przewidział — a wypadki późniejsze potwierdziły, iż przewidział istotnie — przygotowane dla niego zasadzki. Musiał się liczyć — rozumowałem — z tajemnymi poszukiwaniami w swym pałacu. Nie bywał często nocami w domu, co prefekt powitał jako niezawodną zapowiedź swego powodzenia, ja zaś uważałem tylko za podstęp zmierzający do tego, by ułatwić policji szczegółowe szperanie i tym rychlej wpoić w nią przeświadczenie, do którego G. istotnie doszedł, iż

listu w pałacu nie ma. Wyczułem również, iż cały ten tok myśli, o których ci co tylko nadmieniałem, a które odnoszą się do nieodmiennych zasad czynności policyjnych przy poszukiwaniu ukrytych przedmiotów — wyczułem, powtarzam, iż cały ten tok myśli przemknie niezawodnie przez umysł ministra. Musiało go to stanowczo skłonić do wyrzeczenia się wszelkich kryjówek zwyczajnych. Nie podobna — rozumowałem — żeby był tak słaby i nie wiedział, iż najnieodostępniejsze i najtajemniejsze skrytki jego pałacu będą równie jawne jak i najpospolitsze schowki dla oczu, iglic, świdrów i szkieł powiększających prefekta. W końcu uświadomiłem sobie, że nieodzownie będzie musiał dążyć do prostoty, jeżeli nie rozmyślnie, to z wrodzonego upodobania. Może jeszcze pamiętasz, jak do rozpuku śmiał się prefekt, kiedy za pierwszą jego bytnością wyraziłem się, że owa zagadka może dlatego jest tak bardzo kłopotliwa, że z a n a d t o leży jak na dłoni.

— Tak jest — odparłem — przypominam sobie, jaką miał uciechę. Myślałem już, że dostanie drgawek.

— Świat materialny — wyluszczał dalej Dupin — pełen jest nader ścisłych analogii ze światem niematerialnym i stąd to pochodzi, iż niejaki zabarwienie prawdy posiada ów dogmat retoryczny, który utrzymuje, iż przenośnia czy porównanie nadają się

równie dobrze do poparcia jakiegoś argumentu jak do upiększenia jakiegoś opisu. Zasada tak zwanej *vis inertiae* jest na przykład, jak się zdaje, jednakowa w dziedzinie fizycznej. Niemniej jest ona prawdziwa, kiedy utrzymuje, iż ciało większe trudniej jest puścić w ruch niż ciało mniejsze i że wynikię stąd *momentum* jest wprostmierne z ową trudnością, jak kiedy twierdzi, iż umysły o rozleglejszej zdolności pojmowania, ponieważ są zarazem możniejsze, krzepsze i bardziej nieobliczalne w swych poruszeniach niż umysły niższego rzędu, trudniej też dają się wprawić w ruch oraz większym ulegają wahaniom i nieomogom w pierwszych początkach swego postępu. Albo też: czyż kiedy zastanawia się, jakie godła sklepowe najwięcej zwracają uwagi?

— Nie przyszło mi to nigdy na myśl — odparłem.

— Istnieje gra polegająca na odgadywaniu, do której używa się mapy. Jeden z graczy domaga się od drugiego, by odnalazł jakieś słowo — nazwę miasta, rzeki, kraju lub państwa — na pstrzej i pogmatwanej płaszczyźnie mapy. Ktoś, kto jeszcze nie umie grać, na ogół stara się wprowadzić w zakłopotanie swych przeciwników, zadając im do odgadnienia nazwy uwidocznione najdrobniejszym drukiem, natomiast gracz doświadczony wybiera słowa rozwleczone, nakreślone wielkimi literami od jednego krańca mapy do drugiego. Uchodzą one

uwagi, podobnie jak godła i plakaty uliczne, wypisane nadmiernie wielkimi głoskami, gdyż są z nadto widoczne. Otóż to przeoczenie fizyczne jest jota w jotę podobne do roztargnienia psychicznego, które sprawia, iż umysł nie ogarnia spostrzeżeń zbyt namacalnie i bezładnie oczywistych. Wszelako jest to przejaw, który — jak się zdaje — znajduje się powyżej czy poniżej umysłowości prefekta. Nie wydawało mu się nigdy rzeczą prawdopodobną lub bodaj możliwą, żeby minister mógł umieścić ów list wprost na oczach całego świata i w ten sposób najniezawodniej uczynić go niewidzialnym dla pewnych jednostek, zaliczających się do tegoż świata.

W miarę jednak jak zastanawiałem się nad śmiałą rzutką i przezorną umysłowością ministra D., nad tym, iż dokument ów musiał mieć zawsze pod ręką, o ile chciał go użyć we właściwej chwili; wreszcie nad niewzruszoną pewnością, z jaką utrzymywał prefekt, iż nie jest on dostępny dla zwykłych jego poszukiwań — tym silniejszego nabierałem przeświadczenia, iż minister chcąc ukryć ów list wpadł na przenikliwy i roztropny pomysł, by nie ukrywać go wcale.

Mając głowę nabitą tymi refleksjami zaopatrzyłem się w zielone okulary i pewnego pięknego poranka zaszedłem niby to przypadkiem do pałacu ministerialnego. D. był w domu, jak zwykle ziewający, rozleniwiony i rozpróżniaczony. Udawał, że

po prostu zatracą się w bezmiarze nudy. Tymczasem jest to może najenergiczniejszy człowiek, jaki obecnie żyje na świecie — ale tylko wówczas, gdy nikt go nie widzi.

Żeby mu dorównać, jałem uskarżać się na słaby wzrok i ubolewać, że muszę używać okularów. Zajęty pozornie rozmową z moim gospodarzem, rozglądałem się spoza nich bacznie i skrzętnie po całym mieszkaniu.

Szczególniejszą baczność zwróciłem na duże biurko, przy którym siedział, zavalone bezładnie wszelkiego rodzaju listami oraz innymi papierami. Z pomiędzy nich wyzierało kilka książek tudzież jeden czy dwa instrumenty muzyczne. Mimo długich i nader uważnych badań nie dostrzegłem tam jednak niczego, co by mogło wydawać się podejrzanym.

W końcu wzrok mój błędząc po całym pokoju zatrzymał się na niepozornym *porte-cartes*, ozdobionym świecidełkami i zawieszonym za pomocą przybrudzonej, niebieskiej wstążki na gwoźdźniku mosiężnym, który sterczał nad gzymsem kominka. Ów *porte-cartes* miał trzy czy cztery przegródki, zawierające pięć lub sześć biletów wizytowych i jeden, jedyny list. Był on mocno zabrudzony i pomiętoszony. Przedartło go przez środek niemal na dwoje — i wyglądał, jak gdyby w pierwszej chwili chciano go podrzeć zupełnie ni to rzecz bezwartościową, lecz później zamiar ten zmieniono lub nie-

zupełnie go wykonano. Miał wielką, czarną pieczęć, na której zaznaczał się b a r d z o wyraźnie monogram ministra; i był zaadresowany do tegoż drobnym, kobiecym pismem. Wtłoczono go niedbale i nawet — jak się zdawało — nieco pogardliwie w jedną z przedziałek górnych.

Rzuciwszy okiem na ten list wywnioskowałem natychmiast, że jest to przedmiot moich poszukiwań. Nie da się zaprzeczyć, iż z wyglądu różnił się najzupełniej od dokumentu, opisanego nam tak drobniawo przez prefekta. Ten miał pieczęć wielką czarną, z monogramem D., tamten zaś małą i czerwoną z książęcymi herbami rodziny S. Na tym dres do ministra był nakreślony drobnym pismem kobiecym; tamten zaadresowany był do pewnej osoby z domu królewskiego ręką śmiałą i stanowczą. Podobne były do siebie jedynie z rozmiaru. Atoli rańcowa sprzeczność tych różnic; przedarcie, niechlujny i pomiętoszony wygląd tego papieru, nie ująwszy się pogodzić z iście pedantycznymi nawykami ministra D. i jakby zmierzający do wprowadzenia idzie w błędne mniemanie o błahości tego dokumentu — wszystko to wraz z natrętnym po prostu go umieszczeniem, rzucającym się w oczy każdemu przybysza i przez to najzupełniej zgodnym z poprzednimi moimi wnioskami — wszystko to, powtórzam, mogło wielce utwierdzić w podejrzeniach człowieka, który przyszedł już pełen podejrzliwości.

Przewlekłem mą wizytę możliwie najdłużej i podtrzymując nader ożywioną rozmowę o przedmiocie, który — jak już wiedziałem — ministra bardzo obchodzi, skupiałem wyteżoną uwagę na owym liście. Przy tym oglądaniu zakarbowalem sobie w pamięci jego zewnętrzny wygląd oraz przegródkę, w której go umieszczono; w końcu zaś zdażyłem dokonać spostrzeżenia, które rozproszyło do ostatka moje, nikłe już zresztą wątpliwości. Przypatrując się, mianowicie, brzegom papieru zauważyłem, iż są więcej poprzecierane, niż to widuje się zazwyczaj. Wyglądały jak przełamane, co dzieje się tylko wówczas, kiedy sztywny papier złoży się i przygniecie mocno jakimś narzędziem, po czym znów się rozłoży i pozagina na wywrót, ale w ten sposób, aby nowe zgięcia czy brzegi odpowiadały dokładnie załamaniom poprzednim. Odkrycie to zadowoliło mnie zupełnie. Widocznie list wywrócono jak rękawiczkę, złożono na nowo i zaopatrzono pieczęcią. Pożegnałem ministra i odszedłem spiesznie, pozostawiając na stole złotą tabakierkę.

Nazajutrz zaszedłem po tabakierkę i znów wdaliśmy się w zajmującą rozmowę z dnia poprzedniego. Byliśmy już w niej pogrążeni, kiedy rozległ się donośny huk, jak gdyby wystrzał pistoletowy, tuż pod oknami pałacu, a hukowi temu zawtórowały wrzaski i okrzyki przerażonego tłumu. D. podbiegł do okna, otworzył je i wyjrzał na ulicę. Równocze-

śnie przystąpiłem do porte-cartesu, wyjąłem z przegródki list, schowałem go do kieszeni, a na jego miejscu włożyłem podobiznę, (przynajmniej co do wyglądu zewnętrznego), którą zawczasu przygotowałem w domu naśladować nader udatnie pieczęć z monogramem D. takąż pieczęcią z chleba.

Zajście na ulicy wywołał swym niepoczytalnym zachowaniem się jakiś człowiek, uzbrojony w muszkiet. Wystrzelił z niego w ciżbę dzieci i kobiet. Jednak okazało się, że strzał był ślepy, więc puszczone wolno tego draba uważając go za pijaka lub wariata. Kiedy poszedł, D. oddalił się od okna, dokąd podążyłem za nim zapewniwszy sobie posiadanie listu. Wnet potem pożegnałem się z nim. Rzekomy wariat był przekupiony przeze mnie.

— Lecz w jakim celu — spytałem — zastąpiłeś ów list podobizną? Czyż nie można było już za pierwszym razem zabrać go bez ogródek i pójść sobie?

-- D. — odparł Dupin — jest człowiekiem porwczym i zdolnym do wszystkiego. Przy tym w pałacu ma służbę nader sobie oddaną. Gdybym był postąpił, jak powiadasz, mógłbym być swe odwiedziny u ministra przepłacić życiem. Poczciwy ludek paryski nie usłyszałby już o mnie. Ale poza tymi względami miałem na oku jeszcze coś innego. Znasz moje sympatie polityczne. W sprawie tej działałem

jako zwolennik kobiety poszkodowanej. Przez osiemnaście miesięcy minister miał nad nią przewagę. Teraz ona ma ją nad nim, ponieważ nie wiedząc, że listu już nie posiada, będzie dopuszczał się dalszych nadużyć, jak gdyby go posiadał. To musi przyprawić go niezwłocznie o zgubę polityczną. Przy tym upadek jego będzie nie tylko nagły, ale także niezdarny. Łatwo to mówić o *facilis descensus Averni*, atoli przy wszelkiego rodzaju wspinaniach można by powiedzieć to, co Catalani mówiła o sztuce śpiewania, mianowicie, iż łatwiej jest wznieść się niż zejść na dół. W obecnym wypadku nie mam wcale sympatii — ba, nawet współczucia dla tego, który stacza się na dół. To *monstrum horrendum* — człowiek genialny, ale wyzuty ze wszelkich zasad. Wyznaję jednakże, iż bardzo rad bym wiedzieć, co też sobie pomyśli, gdy wyzwany do walki przez kobietę, którą prefekt nazywa „pewną osobą“, będzie musiał poprzestać na otworzeniu listu, który mu pozostawiłem w przegródce *porte-cartes*’u.

— Co? Czy list ten zawiera coś osobliwszego?

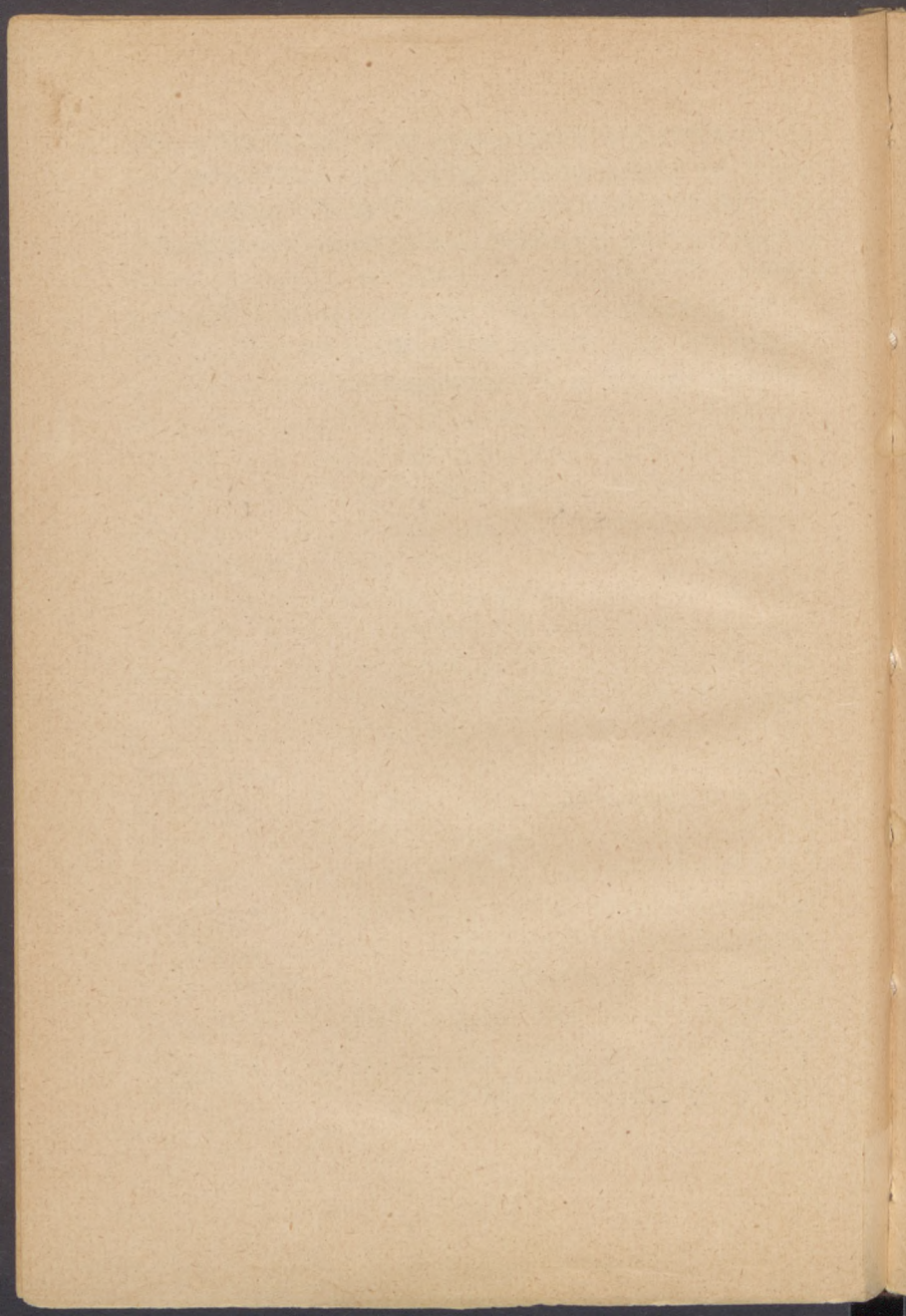
— No — nie wydawało się mi rzeczą właściwą, by nic nie zawierał w swym wnętrzu; wyglądałoby to na obelgę. D. wypłatał mi w Wiedniu złośliwego psikus, powiedziałem mu wówczas z całą pogodą ducha, że tego mu nie zapomnę. A ponieważ wiem, że będzie nieco ciekaw dowiedzieć się, kto go

tak wyprowadził w pole, więc pomyślałem sobie, iż byłoby to rzeczą żalną, gdybym mu nie udzielił pewnych wskazówek. Zna on dobrze charakter mego pisma, więc pośrodku białej karty wypisałem słowa:

...Un dessein si funeste, S'il n'est digne d'Atrée, est digne de Thyeste*).

Możesz je znaleźć w „Atreuszu“ Cébillona.

*) „Pomysł tak okrutny — jeśli nie jest godny Atreusza — jest godny Tiestesa“ (przyp. tłum.).



CZŁOWIEK INTERESU

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

Metoda jest duszą interesu.

(Starodawne powiedzenie)

Jestem człowiekiem interesu. Jestem człowiekiem metodycznym. Metoda przede wszystkim. Nikim tak z całej duszy nie pogardzam jak narwanymi głupcami, którzy metodę głoszą, ale jej nie rozumieją; trzymają się ściśle jej litery, a sprzeniewierzają się jej duchowi. Kpy te czynią mnóstwo niedorzeczności w sposób — jak powiadają — prawidłowy. Otóż jest to najzupełniejszym paradoksem. Prawdziwa metoda pozostaje w związku tylko z rzeczami pospolitymi a namacalnymi i nie może być stosowana do *outré*. Czyż podobna skojarzyć jakąś określoną ideę z takimi wyrażeniami, jak „metodyczny Jasiak z Waszecia lub „systematyczny Witek od Wiehcia?“ ,

Poglądy moje na tę sprawę nie byłyby takie jasne, gdyby nie szczęśliwy wypadek, który przydarzył mi się, kiedy jeszcze byłem berbeciem. Poczciwa, stara niańka irlandzka (o której nie zapomnę w mym testamencie), pewnego dnia, kiedy hałas-

wałem więcej, niż było wolno, porwała mnie za pięty, określiła mną dwa czy trzy razy w powietrzu, zakłęła, żeby mi „oczy wykapały“ i grzmotnęła mą głową o nogę od łóżka. Zdarzenie to rozstrzygnęło o moim losie i zapewniło mi powodzenie. Od razu guz wyskoczył mi na czole i rozwinął się w znakomity narząd *porządku*, o czym każdy może przekonać się latem. Stąd pochodzi to moje zamiłowanie do systemu i regularności, które uczyniło ze mnie niezrównanego człowieka interesu.

Do niczego na ziemi nie czuję takiej nienawiści jak do geniuszu. Ci wasi geniusze, to arcyosły — a im większy geniusz, tym większy z niego osioł — i od tej reguły nie ma żadnego wyjątku. W szczególności nie podobna jest zrobić z geniusza człowieka interesu, tak samo jak nie można wyłuskać pieniędzy z lichwiarza lub orzechów muszkatołowych z szyszki. Ci durnie chodzą zawsze samopas, zajęci jakimiś urojonymi dziełami i śmiesznymi mrzonkami, w najzupełniejszej niezgodzie z „porządkiem jak się patrzy“ i nie mają żadnego interesu, który by w ogóle można nazwać interesem. Toteż nie trudno poznać ich charakter z rodzaju ich zajęć. Jeżeli zdarzy się wam spotkać człowieka, który założy sklep bławatny; czy też zajmie się handlem bawełną, tytoniem lub innym narwanym przedsięwzięciem; czy będzie sprzedawał to-

wary łokciowe, ważył mydło lub zarabiał na życie w jakiś inny podobny sposób; czy wreszcie będzie niby to prawnikiem, kowalem lub lekarzem — słowem, gdy będzie zbaczał od utartej drogi — to wieście od razu, że macie do czynienia z geniuszem i zarazem, wedle reguły trzech, z osłem.

Jakoż nie jestem wcale geniuszem, lecz rzetelnym człowiekiem interesu. Mój Dziennik i moja Księga Główna mogą tego dowieść każdej chwili. Muszę sobie przyznać, że są dobrze prowadzone, w ogólnym zaś mym przyzwyczajeniu do dokładności i punktualności nikt mi dorównać nie zdoła. Ponadto zajęcia moje pozostawały zawsze w zgodzie z powszednimi nawykami mych bliźnich. Nic wprawdzie nie zawdzięczam pod tym względem moim nader tumanowatym rodzicom, którzy bez wątpienia byliby uczynili ze mnie jakiegoś niedowarzonego geniusza, gdyby mój anioł opiekuńczy nie był mi przyszedł w porę z pomocą. W biografii prawda jest wszystkim, zaś jeszcze w wyższym stopniu w autobiografii — a jednak obawiam się, iż mogę spotkać się z niedowierzaniem, gdy wyznam solennie, iż mój biedny ojciec umieścił mnie jako piętnastoletniego chłopaka w pewnym kantorze, o którym wyraził się, że jest „poważną firmą żelazną, mającą bardzo rozległe stosunki handlowe“. Co za głupstwo! Następstwem tego szaleństwa było to, iż po dwu czy trzech dniach musiano mnie

odesłać na łono mej zakutej rodziny rozgorączkowanego do nieprzytomności, z niesłychanie przykrym i groźnym bólem głowy, zwłaszcza w okolicy mojego narządu porządku. Zdawało się, że już po mnie — przez sześć tygodni ważyłem się między życiem a śmiercią — lekarze mnie odstępili. Wycierpiałem wprawdzie wiele, ale się nie dałem. Nie zostałem dzięki temu „poważnym hurtownikiem żelaznym, posiadającym rozległe stosunki handlowe“ i byłem ogromnie wdzięczny zarówno narośli, która stała się przyczyną mojego ocalenia jak do broczynej kobiecie, która mi ją wywołała.

Chłopcy uciekają z rodzicielskiego domu poważnie w dziesiątym lub dwunastym roku życia; ja natomiast czekałem aż do szesnastego. I sam nie wiem, czy nawet wówczas byłbym poszedł w świat, gdybym przypadkiem nie był usłyszał, że moja stara matka chciałaby mi założyć sklepik kolonialny. Sklepik kolonialny! — no, proszę, proszę! Postanowiłem tedy drapnąć z domu i obejrzeć się za jakimś *przyzwoitym* zajęciem, które by mi pozwoliło na przyszłość nie ulegać zachciankom tej wartogłowej staruszki i nie być narażonym na niebezpieczeństwo zostania kiedyś geniuszem. W tych zamiarach poszczęściło mi się od razu i w osiemnastym roku życia robiłem już nie byle jakie i nader korzystne interesy pełniąc obowiązki wędrownej reklamy pewnego przedsiębiorstwa konfekcyjnego.

Tylko dzięki ściśtemu przestrzeganiu systemu, który stanowi zasadniczy rys mego umysłu, udało mi się sprostać uciążliwym obowiązkiem tego zawodu. Skrupulatna metoda znamionowała zarówno me poczynania jak obliczenia. O ile chodziło o mnie, to metoda — a nie pieniądz — tworzyła człowieka lub przynajmniej to wszystko, czego nie tworzył krawiec, któremu służyłem. O dziewiątej z rana zachodziłem do niego po odzież, którą dnia tego wdziać należało. O dziesiątej znajdowałem się już na jakiejś *fashionable* promenadzie lub innym miejscu publicznym rozrywek. Niezrównaną dokładnością, z jaką obracałem w różne strony swą urodziwą postać, by pokazać kolejno wszystkie szczegóły włożonego ubrania, wywoływała podziw wszystkich znawców tego zawodu. Nie zdarzyło się nigdy, żebym około południa nie przyprowadził klienta do sklepu swych chlebobawców, *Messrs. Cuta i Comeagaina*. Powiadam to z dumą, lecz ze łzami w oczach, gdyż firma ta dopuściła się względem mnie najczarniejszej niewdzięczności. Skromnego rachunczku, o który posprzeczaliliśmy się i w końcu rozeszli, nikt, istotnie obeznany z interesami tego rodzaju, nie będzie uważał za wygórowany. Wszelako tę sprawę z uczuciem dumnego zadowolenia pozostawiam orzeczeniu mych czytelników. Rachunek mój opiewał następująco:

Do
Messrs. Cut i Comeagain, firmy konfekcyjnej,
od Petra Proffita,
przedsiębiorcy reklamy wędrownej.

	Dol.
10 lipca. Udałem się jak zwykle na promenadę i sprowadziłem klienta	25
11 lipca. dtto dtto dtto	25
12 lipca. Za kłamstwo drugiego stopnia, wypłowiwały czarny surdut sprzedałem jako oliwkowy	25
13 lipca. Za kłamstwo pierwszego stopnia, wyborowej jakości i pokroju; poleciłem lichą satynę jako przednie sukno	75
	150
do przeniesienia	150
z przeniesienia	150
20 lipca. Na kupno nowego półkoszulka papierowego, aby szara baja lepiej na mnie wyglądała	2
15 sierp. Za włożenie podwójnie watowanego płaszcza przy 76° ciepła w cieniu	25
16 sierp. Za trzygodzinne wystawianie na jednej nodze, by lepiej widziano modne pantalony w paski; po 12,5 centa od nogi i od godziny	37,5
16 sierp. Udałem się, jak zwykle, na promenadę i sprowadziłem dobrego klienta (tłuścioch)	50
18 sierp. dtto (średniego wzrostu)	25
19 sierp. dtto (niskiego wzrostu i kiepsko płaci)	6
	295,5

Szczegółem, który przede wszystkim stał się przedmiotem zatargu, była nader umiarkowana cena dwóch centów za półkoszulek. Zaręczam słowem honoru, że ten półkoszulek *mógł* być tyle wart.

Równie czystego i powabnego nie zdarzyło mi się przedtem widzieć i mam wszelkie powody do mnie-
mania, iż dzięki niemu udało się sprzedać aż trzy
baje. Wszelako starszy wspólnik firmy godził się
tylko na jednego centa i podejmował się wykroić
cztery takie półkoszulki z jednego arkusza bibułki.
Nie potrzebuję chyba nadmieniać, iż nie odstąpiłem
ani na krok od *zasady*. Interes jest interesem i po-
winien być załatwiony jak na interes przystoi. Nie
było ani krzty *systemu* w tym oszukiwaniu mnie
o jednego centa — zwyczajna grabież piętnastu
procent — na domiar bez *żadnej* metody. Wymó-
wiłem natychmiast służbę u *Messrs.* Cut i Comea-
gain i założyłem przedsiębiorstwo zapaskudzania
widoków — jedno z najzyskowniejszych, najsza-
nowniejszych i najniezależniejszych przedsię-
biorstw.

Moja bezwzględna rzetelność, oszczędność oraz
surowe przestrzeganie zasad interesu wystąpiły
znów w całej pełni. Przedsiębiorstwo moje zakwitło
i wnet nauczono się cenić mnie na „giełdzie“. To
pewna, iż nie babrałem się w byle jakich drobnost-
kach, lecz przestrzegałem dobrej, starej, trzeźwej
rutyny interesu — z którym bez wątpienia nie był-
bym się rozstał do dzisiejszego dnia, gdyby nie ma-
lutki wypadek, który zdarzył mi się przy pewnej
dość zwykłej czynności zawodowej. Gdy jakiś stary
sknera, syn marnotrawny lub na niepewnych no-

gach stojąca spółka zapragnie wybudować sobie pałac, to najprostszą rzeczą w świecie jest tę budowę im utrudnić, jak to wiadomo każdemu inteligentnemu człowiekowi. Na tych to utrudnieniach polega właśnie przemysł zapaskudzania widoków. Skoro projekt budowy jest już w toku, my przedsiębiorcy staramy się zapewnić sobie jakąś część parceli, na której dom ten ma stanąć albo jakiś piękny, niewielki plac, przyległy czy tuż przed samym frontem położony. Kiedy to nastąpi, czekamy, aż mury pałacu staną już do połowy, po czym godzimy jakiegoś modernistycznego architekta, aby postawił na przeciw jakąś karykaturalną lepiankę czy to holenderską pagodę, czy chlew, czy wreszcie inną fantazyjną budę w stylu eskimoskim, kickapooskim lub hotentockim. Oczywiście nie możemy się zgodzić na zburzenie tych budynków, o ile nie otrzymamy jakichś pięciuset procent tytułem odszkodowania za plac budowlany i za ową kletkę. Bo *czyż możemy?* Stawiam pytanie. Zwracam się z nim do ludzi interesu. Po prostu byłoby niedorzecznością przypuszczać, że możemy. A jednak natknąłem się na taką łajdacką szajkę, która zażądała, abym to zrobił — abym *to* właśnie zrobił. Rozumie się, że zbyłem to niedorzeczne żądanie milczeniem, ale uważałem za swój obowiązek tejże samej nocy usmarować sadzą cały ich pałac. Za co ci bezmyślni niegodziwcy wsadzili mnie do kozy.

iedy zaś mnie wypuszczono, *gentlemani* od zapadania widoków uważali za właściwe zerwać ze nią wszystkie stosunki.

Zaczepki i zniewagi były interesem, którego miałem jąć się z kolei dla chleba, lecz który niezbyt łpowiadał delikatnemu memu organizmowi. Bądź o bądź zabrałem się do dzieła pełen otuchy i wyodziłem na swoim, podobnie jak poprzednio dziełsurowym nawykom metodycznej ścisłości, którą biła mi w głowę ta przezacna stara niania — zaiste byłbym najpodlejszym z ludzi, gdybym nie amiętał o niej w swym testamencie. Przestrzegac -- jak już wspomniałem — najdokładniejszegoystemu w swych poczynaniach i pilnując prawitowego prowadzenia ksiąg, zdołałem przewycięć wiele poważnych trudności i ostatecznie ustać się przyzwoicie w tym zawodzie. Trzeba przyznać, iż niewielu ludzi zdołałoby się tak wywiązać tego bajecznego interesiku jak ja. Przytoczę tutaj stroniczkę albo i więcej z mojego dziennika, bym nie potrzebował być trąbą własnej chwały — to jest godne pogardy i czego żaden szlachetniej wysłający człowiek się nie dopuszcza. Rozumie się, że dziennik jest wyższy nad wszelkie kłamstwa.

1 stycz. Uroczystość Nowego Roku. Spotkałem a ulicy Snapa podchmielonego. Nb. — ten dobry. net potem spotkałem Gruffa, urzędnego jak be. Nb. także odpowiedni. Zaciągnąłem obu tych

gentlemenów do mej Księgi Głównej i otwarłem dla nich bieżący rachunek.

2 stycz. Zastałem Snapa na giełdzie, podszedłem do niego i nadepnałem mu na palce. Zacisnął pięści i lunął mnie tak, że upadłem na ziemię. Doskonałe! — podniosłem się znowu. Niejakie trudności z mym adwokatem, Bagiem. Chciałbym dostać tyśiąc dolarów odszkodowania, lecz on powiada, że za takie zwykłe pobicie nie możemy żądać więcej niż pięćset. Nb. trzeba pozbyć się Baga — ten człowiek nie ma za grosz *systemu*.

3 stycz. Wpadłem do teatru, by poszukać Gruffa. Siedział w bocznej łoży drugiego rzędu między dwiema damami, jedną tłąstą a drugą chudą. Gapiłem się na nich tak uporczywie przez lornetkę, iż w końcu gruba dama zarumieniła się i szepnęła coś do Gruffa. Wdepnąłem potem do łoży i podsunąłem nos pod jego rękę. Nie chciał za niego pociągnąć — nie szło. Sapnąłem i próbowałem znowu — nie szło. Usiadłem tedy i jałem mrugać na chudą damę. Ku wielkiemu mojemu zadowoleniu porwał mnie za kark i przerzucił przez balustradę na parter. Zwichnięcie kręgow szyjnych i prawa noga przetrącona. Powróciłem do domu rozradowany, wypilem butelkę szampana i zapisałem na rachunek tego młodzieńca pięć tysięcy dolarów. Bag powiada, że to pójdzie.

15 lut. Ugoda polubowna z Mr Snapem. Dochód wniesiony do dziennika — pięćdziesiąt centów — jak uwidoczniło.

16 lut. Wystrychnął mnie na dudka ten łajdak, Gruff, który zbył mnie pięciu dolarami. Koszta sądowe, cztery dolary dwadzieścia pięć centów. Czysty zysk — patrz dziennik — siedemdziesiąt pięć centów.

Z tego widać, iż czysty dochód w bardzo krótkim czasie wyniósł aż jednego dolara i dwadzieścia pięć centów i to tylko za Snapa i Gruffa; a zapewniam jak najuroczyściej, iż te wypisy zaczerpnąłem na chybił-trafił z mojego dziennika.

Stare to, ale dobre powiedzenie, iż pieniądze nie są warte zdrowia. Przekonałem się, iż wzruszenia, nieodłączne od tego zawodu, zbyt dają się we znaki memu wrażliwemu ustrojowi cielesnemu. Spostrzegłem, że zupełnie wychodzę z fasonu i po prostu nie wiedziałem, co począć. Kiedy jednak przyjaciele spotkani na ulicy poczęli nie wierzyć własnym oczom, czy jestem istotnie Petrem Proffitem, przyszło mi na myśl, iż nie pozostaje nic innego, jak zmienić sposób zarobkowania. Jałem się tedy obryzgiwania błotem i uprawiałem ten zawód przez kilka lat.

Najujemniejszą jego stroną jest to, że posiada zbyt wielu lubowników i natłok do niego jest ogromny. Każdy nieuk, który przekona się, iż nie

ma dość mózgu, by poradzić sobie z wędrowną reklamą albo zapaskudzaniem widoków lub zaczepianiem i obrażaniem przechodniów, myśli, iż zdoła obrzucać błotem. Jednakże jest to najzupełniej błędny pogląd, jakoby babranie się w błocie nie wymagało wysiłku umysłowego. W szczególności nie da się niczego osiągnąć w tym zawodzie *bez metody*. Zajmowałem się tylko interesem detalicznym, a przecież dzięki mojemu dawnemu nawykowi *systematyczności* wszystko szło gładko jak po maśle. Przede wszystkim wybierałem skrzyżowania ulic z wielką rozważą i nigdy nie ruszyłem miotłą w innej części miasta. Dokładałem przy tym starań, żeby zawsze była w pobliżu niewielka, ładna kałuża, z której mógłbym korzystać każdej chwili. Dzięki temu dałem się poznać jako człowiek, na którym można polegać, a proszę mi wierzyć, że to niemal rozstrzyga o powodzeniu w każdym interesie. Każdy wtykał mi miedziaka, by minąć szczęśliwie skrzyżowanie, gdzie stałem i nie mieć obrzucanych błotem pantalonów. A ponieważ przewodnie zasady mego interesu były dostatecznie znane, przeto nie zdarzyło mi się nigdy mieć do czynienia z oszustwem. Nie byłbym go ścierniał. Nie oszukując nigdy nikogo nie pozwalałem również nikomu robić ze siebie igraszki. Sprzeniewierzeniom bankowym już cić zapobiec nie mogłem. Niewypłacalność zagrażała mi ruiną. Cóż, kiedy banki nie są jednostkami,

lecz zrzeczeniami, a zrzeczenia, jak to powszechnie wiadomo, nie mają ciała, które można kopnąć, ani dusz, które można przekląć.

Robiłem pieniądze na tym interesie, gdy w nieszczęsną godzinę zachciało mi się zająć obryzgiwaniem obuwia przez psa, co jest zajęciem poniekąd podobnym, ale nierównie mniej poważnym. Rozumiem się, iż miejsce mojego postoju było znakomicie wybrane, gdyż znajdowało się w samym środku miasta, a przy tym miałem doskonałe szczotki i czernidło do obuwia. Mój piesek był wypasiony i potrafił wywąchać wszystko. Pracował w tym zawodzie od dawna i muszę przyznać, że znał się na nim. Sposób naszego postępowania był następujący: Pompe wytarząwszy się należycie w błocie siedział przed drzwiami sklepu i czyhał, aż nadejdzie jaki *dandy* w świeżym obuwiu. Wówczas wybiegał na przeciw niego i muskał swą sierścią jego lakierki. *Dandy* poczynał kląć, na czym świat stoi i rozglądał się za kimś, kto by mu oczyścił obuwie. Oczywiście byłem do usług z czernidłem i szczotkami. W niespełna minutę zarabiał się sześć *pensów*. Jakiś czas szło jako tako. Nie ja grzeszyłem chciwością, ale mój pies. Odstępowałem mu trzecią część dochodu, ale on domagał się połowy. Nie mogłem na to się zgodzić — toteż posprzeczaaliśmy się i rozeszli.

Następnie jałem chodzić z katarynką i muszę przyznać, że powodziło mi się doskonale. Jest to przedsięwzięcie łatwe, prowadzące prosto do celu i nie wymagające szczególniejszych uzdolnień. Dość jest postarać się o katarynkę, co wygrywa jedną tylko melodię i odpowiednio ją przygotować, mianowicie otworzyć mechanizm i gruchnąć w niego trzy lub cztery razy młotkiem. Po prostu nie ma się wyobrażenia, jakiego przez to nabiera tonu przydatnego do interesu. Gdy to się robi, trzeba zarzucić katarynkę na plecy i wałęsać się po ulicach dopóty, aż ujrzy się dom, przed którym bruk ma podściółkę z garbarskiej kory i którego kołatkę owinięto kozią skórą. Wówczas staje się i zaczyna się rzępolić, ale trzeba wyglądać tak, jakby miało się stać i rzępolić do sądnego dnia. Natychmiast otwiera się okno, ktoś rzuca sześć pensów i zaczyna wołać: „Cicho być! Wynoś się! itd.“ Jużci wiem, iż bywają kataryniarze, którzy są gotowi „wynieść się“ za tę sumę, ale ja wiedząc, jak wielkie poczyniłem wkłady, nie pozwalałem się odprawić poniżej *shillinga*.

Zajęcie to było wcale zyskowne, ale nie zadowalało mnie w zupełności, więc je porzuciłem. Praca była trudna, gdyż nie miałem małpy, a przy tym ulice amerykańskie są takie brudne, demokratyczny motłoch taki natrętny, a ulicznicy tacy dokuczliwi!

Przez kilka miesięcy byłem bez zajęcia, lecz w końcu dzięki swej wielkiej rzutkości zdołałem sobie wywalczyć stanowisko na „fałszywej poczcie“. Obowiązki w tym interesie są proste, lecz wcale korzystne. Na przykład: już wczesnym rankiem musiałem przygotować sobie paczkę fałszywych listów. Wewnątrz każdego z nich trzeba było nagryzmościć kilka wierszy do kogoś, kto wydawał mi się dostatecznie zagadkowym i podpisać u dołu jakiego Toma Dobsona lub Bobby Tompkinsa. Zalepiwszy i zapieczętowawszy listy oraz nakleiwszy na nich fałszywe znaczki z New Orleans, Bengalu, Botany Bay i innych, bardzo odległych miejscowości, odbywałem moją codzienną wędrowkę niby to z wielkim pośpiechem. Doręczałem zawsze te listy tylko w najzamożniejszych domach i otrzymywałem opłatę pocztową. Nikt nie wahał się zapłacić za list, zwłaszcza tak zagadkowy, gdyż ludzie są bardzo głupi — a ja zawsze zdążyłem zniknąć za najbliższym narożnikiem, zanim go otworzono. Najgorszym w tym zawodzie było to, iż musiałem chodzić dużo, szybko i często zmieniać kierunek. Ponadto doznawałem niemiłych wyrzutów sumienia. To tak przykro słuchać, gdy ktoś bezczeci niewinnego człowieka — a wściekłość, z jaką przeklinano w całym mieście Toma Bobsona i Bobby Tompkinsa była po prostu przerażająca. Z niesmakiem umyłem ręce od tej całej sprawy.

Mym ósmym i ostatnim interesem było przedsiębiorstwo hodowli kotów. Przekonałem się, że jest to najprzyjemniejsze i najzyskowniejsze zajęcie, nie połączone przy tym z żadnymi przykrościami. W kraju naszym — jak powszechnie wiadomo — nastąpiła istna plaga kotów i aby jej zapobiec, okazało się niedawno koniecznym wniesienie do władz prawodawczych prośby zaopatrzonej podpisami wielu najszanowniejszych osób. Prośbę tę rozpatrywano na ostatnim, wiekopomnym posiedzeniu. Zgromadzenie, znakomicie obeznane z tą sprawą, powziąwszy mnóstwo innych mądrych i zbawienych uchwał, uwieńczyło je wszystkie edyktem kocim. Pierwotnie ustawa ta wyznaczała nagrodę za łby kocie (po cztery *pensy* od sztuki), ale senatowi udało się poprawić najważniejszy jej paragraf i słowo „łby“ zmienić na „ogony“. Ta poprawka była tak słuszna, iż Izba przyjęła ją jednogłośnie.

Skoro tylko gubernator podpisał *bill*, włożyłem cały swój majątek w zakupno kiż i miż. Zrazu mogłem je karmić tylko myszami (ile że są tanie), lecz kiedy jęły w myśl nakazu biblijnego mnożyć się wprost przedziwnie, uważałem, że będzie najlepiej, gdy okażę się wspaniałomyślnym i jałem dogadzać im ostrygami i żółwiami. Ich ogony po cenie, wyznaczonej przez ustawę, przynoszą mi ładne dochody. Dokonałem bowiem odkrycia, iż przy zastoso-

waniu olejku macassarowego można otrzymać trzy
ogonki na rok. Cieszy mnie również, iż te zwierzaki
bardzo rychło przyzwyczajają się do operacyj i wo-
lą obywać się bez swej przywieszki niż włożyć ją
za sobą. Stałem tedy na własnych nogach i dobi-
jam właśnie targu o willę nad Hudsonem.

Biblioteka Główna UMK



300000412616

S P I S R Z E C Z Y

Złoty żuk	5
Studnia i wahadło	69
Skradziony list	97
Człowiek interesu	131



E. 525/50